



MEDYK BIAŁOSTOCKI

MIESIĘCZNIK UNIWERSYTETU MEDYCZNEGO W BIAŁYMSTOKU

NR 02 (106)

BIAŁYSTOK, LUTY 2012

ISSN 1643-2734

Euroregionalne Centrum Farmacji



OTWARTE



Dr Diana Dmuchowska – Ambasador Programu Erasmus w Polsce, zachęca do studiowania za granicą

4

8

W sejmie merytorycznie o niemerytorycznym i agresywnym sposobie informowania w mediach o zapłodnieniu *in vitro*

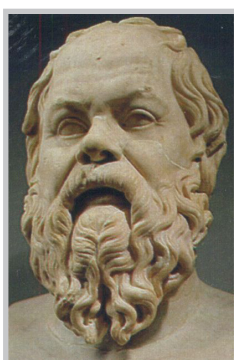


**60 lat
Kliniki Otolaryngologii UMB**

10

15

Profesor Jerzy Sarosiek, czyli losy kolejnego absolwenta UMB w nowym cyklu Katarzyny Malinowskiej-Olczyk



Tajemnica niezwykłego zachowania **Sokratesa**

19

- 4 25 lat Erasmusa
- 5 Awangardowa farmacja
- 8 Wstajemy, Tatus!
- 10 60 lat
Kliniki Otolaryngologii UMB
- 12 Zanim weźmiesz antybiotyk
- 14 Chaos
- 15 Wylądował w Teksasie
- 17 Nie wszystkich umrę
- 18 Dama hultajka
- 19 Tajemnica Sokratesa
- 20 O chorobie Van Gogha
- 21 Struktura pierwszorzędowa białka
- 22 Lekarze białostoccy w okresach:
międzywojennym i powojennym
- 24 Bo my, ASNYKOWCY
w budzie nauczani
- 26 Świecka tradycja III RP
- 27 Białystok północny
- 30 Wydarzenia i aktualności

Materiały do numeru przyjmujemy do dn. 10 każdego miesiąca.

Skład redakcji:

Redaktor naczelny: Lech Chyczewski • **Zastępca redaktora naczelnego i kronikarz:** Krzysztof Worowski • **Sekretarz redakcji:** Danuta Ślósarska • **Redakcja stylistyczna i korekta:** Beata Jarmuszewska • **Członkowie:** Magdalena Grassmann, Adam Hermanowicz, Alina Midro, Wojciech Sobaniec, Anna Worowska • **Współpracownicy:** Tomasz Dawidziuk, Jan Pietruski • **Skład komputerowy:** SMD - Studio Graficzne Jerzy Czykwin • **Druk:** Orthdruk Sp. z o. o. • **Projekt strony internetowej:** Monika Fiedorowicz • **Zarządzanie stroną:** medyk.umwb.edu.pl: Beata Jarmuszewska •

Adres redakcji:

Biblioteka Główna Uniwersytetu Medycznego, 15-089 Białystok, ul. Kilińskiego 1, tel. (085) 748-54-85 (Danuta Ślósarska), e-mail: danka@umwb.edu.pl e-mail: medyk@umwb.edu.pl, http://www.umwb.edu.pl

Redakcja zastrzeża sobie prawo skracania i opracowania tekstów oraz zmiany ich tytułów.

Świat jest pełen tajemnic. Dopóki nas zadziwia, mamy poczucie sensu życia. Zadziwienie jest atrybutem młodości i poznawania. Sądzę, że nie może być postępu bez zadziwienia. Z zadziwienia wynikają nowe osiągnięcia i rozwój nauki. Zadziwienie jest także jednym z potężnych czynników doprowadzających człowieka do Boga. Jeżeli miałbym szukać powiązań między nauką a religią, to widziałbym je właśnie w tym wspólnym mianowniku.



Na początku marca odbędzie się kolejne sympozjum poświęcone problemom bioetycznym. Tym razem wykłady i debaty będą próbą szukania odpowiedzi na fundamentalne pytania: Czy machiną wszechświata zawiaduje Bóg? Czy nauka potrafi wyjaśnić wszystkie tajemnice przyrody? Czy nauka stoi w sprzeczności z wiarą? To tylko kilka z wątpliwości, z którymi zmagamy się na życiowej drodze. Wspomniane sympozjum pt. *Nauka a Wiara*, organizowane przez Katedrę Teologii UwB i Katedrę Biostruktury Wydziału Lekarskiego UMB w dniach 06 – 08.03.2012 r., w Aula Magna pałacu Branickich, siedzibie naszego uniwersytetu, zapowiada się interesująco. Mam nadzieję, że starannie dobrani wykładowcy o olbrzymim doświadczeniu, specjaliści z dziedzin nauk o życiu, a także najznakomitsi teolodzy spełnią oczekiwania. Wszak spróbujemy zmierzyć się z kardynalnymi pytaniami i problemami. Zachęcam do wzięcia udziału w tym wydarzeniu. Szczegółowy program zamieszczamy na plakatach, także na wewnętrznej stronie okładki bieżącego numeru.

A teraz zejdźmy na niższy poziom zadziwienia. Zawsze fascynowała mnie różnorodność świata – zarówno żywego, jak i martwego, także tego, który jest wytworem człowieka. Z siedmiu dźwięków gamy i tyluż półtonów, powtarzanych w kilku oktavach, muzyk potrafi wyczarować niekończącą się liczbę fascynujących utworów. Z alfabetu naszego języka, a więc z 24 liter, tworzy się nieskończoną liczbę utworów literackich. Z alfabetu zaledwie czterech zasad powstają twory zwane genami, których człowiek ma około 30 tys. różniących się od siebie. Liczba aminokwasów budujących peptydy i białka to tylko 20 sztuk. Zdziwienie musi więc wywołać fakt, że z tych cegiełek powstaje około 300 tys. różnych białek budujących organizmy żywe. Zadziwionych odsyłam do krótkiego artykułu pt. *Struktura pierwszorzędowa białek*. Polecam także, wraz z autorem – przyjacielem *Medyka* i naszej uczelni – prof. Adamem Dobrońskim, jego opis historii północnych dzielnic Białegostoku. Antoniuk, Pietrasze, Białostoczek, Wygoda, Bagnówka – to swojskie i mile brzmiące nazwy dzielnic naszego miasta. Każda z nich ma swoją historię. A wielu z nas ma swoje wspomnienia związane z tymi dzielnicami. Moje wspomnienia ze studenckich lat łączą się z Wygodą i Pietraszami. Pietrasze to letnie, sobotnio-niedzielne wyprawy do okolicznych, pełnych słońca, radości i zdrowia, suchych iglastych lasów. Wygoda natomiast była dzielnicą, gdzie miejscowi bili obcych, szczególnie studentów. Co prawda mnie się nie oberwało, ale kolega, który miał mniej szczęścia, mawiał: *Wygoda – to tam, gdzie biją*.

25 lat Erasmusa

Program Erasmus obchodzi w tym roku 25 urodziny. Jego pierwsza edycja ruszyła 15 czerwca 1987 r. Główną ideą pomysłodawców z Komisji Europejskiej było rozwijanie współpracy międzynarodowej między uczelniami. Swą nazwę program otrzymał na cześć żyjącego na przełomie wieków XV i XVI niderlandzkiego filozofa i teologa – Erazma z Rotterdamu, wielkiego reformatora nauki i wychowania, autora słów: „Człowiek z natury jest dobry, zło zaś pochodzi z niewiedzy”.

Obecnie w projekcie uczestniczy 27 krajów członkowskich UE, cztery kraje Europejskiego Obszaru Gospodarczego – Islandia, Liechtenstein, Norwegia i Szwajcaria, oraz kraje kandydujące: Turcja, Chorwacja. Do tej pory udział w programie wzięło ponad 22 tysiące osób.

W ramach obchodów rocznicowych w Brukseli, pod koniec stycznia 2012 r., odbyła się konferencja poświęcona ocenie osiągnięć programu. Kolejna, na której ogłoszony zostanie „Manifest programu Erasmus”, odbę-

dzie się 9 maja 2012 r. w Kopenhadze. Jej organizatorem jest Dania, sprawująca w tym półroczu prezydencję w UE. W majowym wydarzeniu każdy z krajów uczestniczących w programie reprezentować będzie dwóch ambasadorów programu Erasmus. W Polsce ta zaszczytna funkcja przypadła dr Dianie Dmuchowskiej z Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku i dr. Ryszardowi Zamorskiemu z Uniwersytetu Technologiczno-Przyrodniczego im. Jana i Jędrzeja Śniadeckich w Bydgoszczy.



W ŚRODĘ 13 MARCA 2012 r. w godz. 17.00 - 19.00
w Sali Kolumnowej pałacu Branickich
odbędzie się spotkanie informacyjne dotyczące:

Programu ERASMUS

*Zapraszamy studentów wszystkich kierunków studiów UMB
zainteresowanych wyjazdami na studia i praktyki w programie Erasmus!*

Diana Dmuchowska na stypendium Erasmusa pojechała w roku akademickim 2005/2006, gdy była na V roku studiów medycznych. Wybrała Uniwersytet w Essen. Miała tam zostać pół roku, ale zdecydowała się pobyt przedłużyć o jeszcze pół. Decyzję tę zawdzięcza prof. Anji Eckstein, okulistce, która zafascynowała ją uprawianą przez siebie dziedziną medycyny. To pod jej opieką dr Dmuchowska zaczęła pisać i publikować pierwsze prace naukowe. Dziś pracuje w Klinice Okulistyki UMB, ale doktorat rozpoczęła i obroniła w Essen.

- Moje miejsce na świecie jest w Białymstoku – mówi. Tu się najlepiej czuję i tu widzę swą przyszłość, ale uważam, że wiedzę należy zdobywać w różnych miejscach świata i na różnych uczelniach. Studiowanie za granicą nie jest już dziś luksusem, ale wręcz naszym obowiązkiem. To szansa na rozwój duchowy, intelektualny, otwierająca nam drzwi do lepszego życia. Jako jedna z niewielu wykorzystałam możliwości, które stworzyła mi uczelnia, która podała mi je, że się tak wyrażę, na tacy. Wystarczyło tylko chcieć i wyciągnąć w tym kierunku rękę.

Nie wszyscy jednak chcą. I chociaż o Erasmusie każdy wie, to chętnych z naszej uczelni wciąż jest za mało. Lęk przed tym co nowe, niechęć do przemieszczania się i kompleksy okazują się silniejsze. A szkoda, bo żeby wyjechać, trzeba zaliczyć przynajmniej 1 rok studiów, mieć 3,5 średnią ocen ze wszystkich lat studiów, znać język obcy i mieć ciekawość świata i ludzi. To chyba nie tak wiele?

dś.



fot. T. Dawidziuk

O Euroregionalnym Centrum Farmacji oraz nowatorskim podejściu do diagnozowania i leczenia chorób rozmawiają
prof. dr hab. Elżbieta Skrzydlewska,
dziedkan Wydziału Farmaceutycznego UMB,
i Tomasz Dawidziuk.

Awangardowa farmacja

Piękny budynek. A pomysł był własny czy podpatrzony?

Pomysł budowy Euroregionalnego Centrum Farmacji powstał po złożeniu raportu przez komisję akredytacyjną, która po raz pierwszy zawitała do nas w roku 2004. Podczas pierwszej wizytacji zarzucono nam, że farmacja na UMB jest „zbyt umedyczniona” i że za mały nacisk kładziemy na rozwój nauk chemicznych. Raport komisji był dla nas impulsem do zastanowienia się, jak dopasować naszą przestarzałą bazę naukową do nowoczesnych wymogów. Wówczas narodził się pomysł budowy oddzielnej infrastruktury. Projekt był oryginalny, ponieważ nie było nawet skąd zaczerpnąć wzorców.

Taki projekt musiał sporo kosztować.

Pierwsze środki w kwocie 1,5 miliona złotych, jakie otrzymaliśmy z programu *Interreg* w ramach współpracy polsko-

-litewskiej, zostały przeznaczone na utworzenie Pracowni Analizy Leków. Zakupiliśmy siedem nowych aparatów. Jednocześnie trwały starania o kolejne dotacje. Okazało się, że istnieje możliwość złożenia aplikacji o przyznanie pieniędzy z funduszu *Rozwój Polski Wschodniej*. Wstępny wniosek złożyliśmy w 2006 roku. Ujęliśmy w nim potrzebę wybudowania gmachu, który mógłby stać się bazą do prowadzenia zaawansowanych badań chemicznych i analizy instrumentalnej.

Dostaliście państwo tyle środków finansowych, ile było potrzebnych?

Zdobyliśmy pieniądze nie tylko na wybudowanie Centrum, ale również na aparaturę i remonty. Proszę sobie wyobrazić, że w niektórych pomieszczeniach, gdzie mieściły się zakłady Wydziału Farmaceutycznego, nigdy nie było remontu. W innych był, ale

może ze trzydzieści lat temu. Dzięki pieniądзом unijnym to wszystko się zmieniło.

Zastrzyk finansowy wywołał reakcję łańcuchową?

Pojawiła się pewna ciągłość, jeden projekt stawał się wstępem do kolejnych. Jesteśmy w trakcie ciągłego remontu, kolejne zakłady przeprowadzają się do nowych pomieszczeń, inne są przenieszone na czas prac remontowych. Teraz musimy jeszcze zwolnić skrzydło pałacu, gdzie mieści się Zakład Biologii. To wymóg konserwatora zabytków.

Wróćmy do samego Centrum. Wybudowano je błyskawicznie.

Tempo, w jakim powstał budynek, według mnie nie ma znaczenia. Prawdopodobnie, nawet gdyby budynek powstawał dłużej, błędy pojawiłyby się w typowych miejscach.

cd. na str. 6 →

cd. ze str. 5 →

A czy jest pani zadowolona z jakości prac budowlanych?

Jestem zadowolona, że udało się wybudować Centrum. Natomiast nie wszystkie rozwiązania techniczne budzą mój zachwyt. Dziekanat mamy w wykuszu okiennym, gdzie nie ma ani klimatyzacji, ani otwieranych okien.

A laboratoria?

Miałam zastrzeżenia po tym, jak zobaczyłam, z jakiego materiału wykonane są ściany działowe. Zbudowano je z płyt

zawodowym, obejmują laboratoria i sale dydaktyczne oraz aptekę szkoleniową. Jest to w pełni funkcjonalna apteka, w której student uczy się, że jego praca nie polega wyłącznie na sprzedawaniu leków, ale jest również związana z udzielaniem porad pacjentom.

Nie wszystkie zakłady zostały przeniesione. Czy to znaczy, że zabrakło miejsca?

Zdecydowanie. Na wydziale mamy 28 jednostek, a do Centrum przeniesiono zaledwie jedną trzecią z nich. Z kolei zwol-

nięciach do jednego urzędnika będą przydzielane dwie, góra trzy osoby. To jest luksus. Studenci po raz pierwszy dostaną skomplikowaną i drogą aparaturę do samodzielnego użytku.

Z czego jest pani najbardziej zadowolona?

Jestem dumna, że było możliwe zakupienie najwyższej klasy aparatury do analiz chemicznych. Pod tym względem nastął XXI wiek. Bez specjalistycznej aparatury, która pozwala np. na ocenę ilościową na poziomie femtogramów (10^{-15} grama), nie byłoby realne oznaczanie zawartości



Laboratorium.

Mamy najwyższej klasy aparaturę do analiz chemicznych. Możliwe będą niestandardowe oznaczenia poziomu leków, metabolitów czy wysoce specyficznych biomarkerów

gipsowo-kartonowych. Nawet mnie, laikowi w dziedzinie budownictwa, wydaje się oczywiste, że takie ściany łatwiej uszkodzić.

Co z infrastrukturą techniczną?

Mamy cały szereg specjalistycznych instalacji, w tym gazów technicznych, wyciągi, kabiny laminarne, podział odprowadzenia ścieków na żrące i organiczne oraz neutralizatory substancji niebezpiecznych w piwnicy. Jest to wszystko bardzo nowoczesne i zgodne z surowymi wymogami unijnymi.

Kto będzie pracował w nowym Centrum?

Do budynku w całości przeniesiono pięć jednostek naukowo-badawczych i dydaktycznych. Cztery kolejne otrzymały tutaj swoje pomieszczenia. Warto zauważyć, że wszystkie zakłady i pracownie znajdujące się w tym budynku, w mniejszym lub większym stopniu, zajmują się analizą chemiczną. Pomieszczenia dla farmacji stosowanej, która jest przedmiotem typowo

niła się powierzchnia w innych budynkach. Jako przykład podam Pracownię Biotechnologii, która dotychczas istniała prawie wirtualnie, bez własnej bazy. Obecnie otrzymała miejsce, dzięki czemu może się rozwijać.

A czy studenci mają tyle miejsca, ile potrzebują?

Takich jak teraz pracowni i sali dydaktycznych studenci dotychczas nie mieli. Jeżeli weźmiemy natomiast pod uwagę, czym dysponują wydziały farmacji na innych uczelniach, to miejsca mamy i tak jeszcze za mało.

Jak było dotychczas?

Studenci, w grupach 17-osobowych, pracowali na jednym, czasem dwóch aparatach. Asystent prowadzący ćwiczenia pokazywał, jak działa urządzenie, jak należy je obsługiwać i przechodził dalej. Obecnie każdy student będzie miał okazję nauczyć się korzystania z aparatury. Na

związków i ich metabolitów w żywym organizmie. Materiału biologicznego do analizy są zazwyczaj mikroskopijne ilości, nie można więc sobie pozwolić na rozcieńczenie i używanie niedokładnego sprzętu.

To znaczy, że lekarze również na tym skorzystają?

Oczywiście. Możliwe będą niestandardowe oznaczenia poziomu leków, metabolitów czy wysoce specyficznych biomarkerów. Niektóre z tych związków są albo niedostępne do diagnostyki w laboratoriach szpitalnych, albo wciąż ich się poszukuje.

W razie czego można do państwa zadzwonić z zapytaniem, czy oznaczycie konkretną substancję w próbce od pacjenta?

Nie tylko. Dzień po otwarciu Centrum odwiedził nas komendant Straży Pożarnej z zapytaniem, czy chcielibyśmy z nimi współpracować. Czasami, kiedy wybuchł pożar, strażacy podejrzewają, że jego przyczyną jest wyciek substancji chemicznych. Nie wiedzą natomiast, co to za substancja. Od ich błyskawicznego oznaczenia będzie zależał sposób postępowania na miejscu zdarzenia, a więc skuteczność walki z pożarem oraz profesjonalna pomoc poszkodowanym w przypadku zatrucia.



Sala do ćwiczeń.

Co Wydziałowi Farmaceutycznemu przyniesie przyszłość?

Otwieramy studia magisterskie na kierunku kosmetologia. Będziemy uczyć, nazwijmy to w uproszczeniu, bardziej naukowego podejścia do zawodu. Chcemy sukcesywnie wzbogacać bazę dydaktyczną studiów doktoranckich. Czekamy także na uzyskanie uprawnień do habilitowania w zakresie nauk farmaceutycznych. Zamierzamy rozwijać współpracę z innymi ośrodkami naukowymi w Polsce i za granicą.

Z którymi ośrodkami naukowymi współpracuje Wydział Farmaceutyczny?

Jeżeli chodzi o Polskę, to w mniejszym lub większym stopniu współpracujemy z większością ośrodków akademickich. Najściślejsza współpraca jest z Gdańskim Uniwersytetem Medycznym. Mamy bliskie kontakty z uniwersytetami w Niemczech, Anglii, Hiszpanii oraz we Francji. Wymiana myśli naukowej z Uniwersytetem w San Pablo w Madrycie osiąga ostatnimi czasy bardzo wysoki poziom.

Czego dotyczy ta wymiana?

W tym wypadku koncentrujemy się na analizie metabolomicznej. Jest to ocena i poszukiwanie w organizmie metabolitów, które byłyby charakterystyczne dla określonego stanu chorobowego lub które pojawiają się wyłącznie po podaniu określonych leków. Dotychczas zajmowaliśmy się pojedynczymi związkami, które stanowiły metabolity

leków. Natomiast metabolomika, reprezentowana przez ośrodek w Hiszpanii, dotyczy całego szeregu związków jednocześnie. Są to więc oceny jakościowa i ilościowa, pozwalające tworzyć swoisty profil metabolomiczny konkretnej jednostki chorobowej na poziomie komórkowym.

*Skuteczność walki z pożarem,
którego przyczyną jest wyciek
substancji chemicznych,
zależy od błyskawicznego ich
oznaczenia. Komendant Straży
Pożarnej zaproponował nam
współpracę*

Czy lekarz, po otrzymaniu wyniku takiej analizy, będzie wiedział, co dolega pacjentowi?

Mamy taką nadzieję. Wprowadziłoby to bez mała rewolucję w diagnostyce. Chociaż w tej chwili najważniejsza jest personalizacja, ponieważ każdy z nas jest trochę inny pod względem metabolizującym. Zarówno medycyna personalizowana, jak i farmakologia personalizowana pozwolą dopasować terapię do indywidualnych potrzeb i aktualnego stanu pacjenta.

Będziemy leczyć skuteczniej?

Dotychczas mieliśmy pewne pryncypia jakościowe i ilościowe, dotyczące konkretnych substancji lub ich metabolitów. Dzięki badaniom prowadzonym w Centrum, uzyskamy wgląd w procesy zachodzące w organizmie na poziomie komórkowym. Stanie się jasne, czy u konkretnego pacjenta właściwe jest zastosowanie standardowej terapii, czy może konieczna jest jakaś jej modyfikacja. Na podstawie analizy odpowiedzi metabolicznej organizmu, lekarz będzie mógł modyfikować dawkę lub zmieniać leki.

Czekamy zatem. To jeszcze poproszę panią dziekan o krótkie przesłanie.

Mamy na Wydziale Farmaceutycznym wspaniałych ludzi, z którymi znakomicie się współpracuje. Chciałabym, aby tak pozostało. Nasz wydział w swojej specyfice jest zupełnie inny od pozostałych wydziałów UMB. Różni się nawet od innych wydziałów farmaceutycznych w Polsce, ponieważ powstawał na bazie Wydziału Lekarskiego. Na innych uczelniach te wydziały były tworzone przez chemików, co oznacza, że było im od początku znac-



Apteka szkoleniowa.

nie łatwiej. Poza tym, powstawały dużo wcześniej. Natomiast my wyszkolonych pracowników naukowych mamy dopiero od piętnastu lat. To najmłodsza kadra farmaceutyczna w Polsce, która ciągle ma przed sobą duże możliwości. Gdzie indziej albo osiągnięto plateau, albo pracownicy zaczynają się po prostu starzeć. Wierzę, że przed nami dobry czas i sukcesy, a za miesiąc będę mogła zakomunikować o przyznanych nam uprawnieniach do habilitowania doktorantów.

Wstajemy, Tatuś!

Prawicowi publicyści nie mają wątpliwości co do tego, że dzieci poczęte w wyniku procedury *in vitro* nie są darem Bożym. Pewien hierarcha kościelny porównuje je nawet do wytworu doktora Frankenstein z powieści Mary Shelley. W tej nieprzyjemnej atmosferze członkowie Stowarzyszenia na rzecz Leczenia Niepłodności i Wspierania Adopcji „Nasz Bocian” po raz kolejny zorganizowali w Sejmie RP tzw. wysłuchanie obywatelskie. Odbyło się ono 24 stycznia 2012 r., pod patronatem Wicemarszałek Sejmu RP Wandy Nowickiej z Ruchu Palikota. Temat brzmiał: *Dzieci in vitro w debacie publicznej*. Podczas spotkania uczestnicy mówili przede wszystkim o formie i języku dyskusji prowadzonych w mediach, dotyczących zapłodnienia *in vitro*. Zwrócono uwagę na to, że o problemie mówi się i pisze niemerytorycznie, tylko ideologicznie. I to ze sporą dozą negatywnych emocji.

W debacie brali udział rodzice działający w Stowarzyszeniu, przedstawiciele władz państwowych oraz dwaj naukowcy z Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku – profesorowie Marian Szamatowicz i Sławomir Wołczyński.

Język nienawiści

Anna Krawczak, wiceprzewodnicząca Stowarzyszenia „Nasz Bocian”, zapytana o to, co należy zmienić w publicznym przekazie, dotyczącym procedury *in vitro*, oraz w sposobie traktowania dzieci, które poczęto dzięki tej technice, powiedziała:

- Należy zwrócić uwagę na język, jakim opisujemy ten problem. Dziś jest on pełen nienawiści. Mówi się o fabrykowaniu dzieci albo o ich produkcji. W mediach często dochodzi do piętnowania rodziców, którzy skorzystali



Od lewej: prof. Sławomir Wołczyński i prof. Marian Szamatowicz.

z techniki zapłodnienia pozaustrojowego, oraz do etykietowania ich dzieci, które dzięki temu przyszły na świat. A rzeczowej publicznej dyskusji wciąż brak.

Anna Krawczak jest matką dwuletniego Franka, długo wyczekiwanego dziecka, które przyszło na świat dzięki technice *in vitro*. W przeciwieństwie do wielu innych rodziców nie wstydzi się o tym mówić. Podkreśla, że niepłodność jest chorobą, a świadomy człowiek, gdy zachoruje, szuka pomocy u specjalistów.

Niepłodność to niemożność zajęcia w ciążę w okresie minimum dwóch lat, pomimo regularnego współżycia bez stosowania środków antykoncepcyjnych. Problem dotyka już co czwartą parę w Polsce. I chociaż z reguły winą za brak upragnionego potomstwa obarcza się kobietę, to jednak, wg danych WHO, problem niepłodności dotyczy w tej samej mierze mężczyzn.

- Trzeba mówić i pisać na ten temat, aby społeczeństwo dowiedziało się o rzeczywistej skali zjawiska. Każdy z nas ma wśród swoich znajomych kogoś, kogo ten problem dotyczy, a jeśli tego nie zauważa, to tylko dlatego, że te osoby boją się mówić o swojej przypadłości – zauważyła Krawczak.

RTG okolicy opiniotwórczej

Poszukiwaniami i rozpowszechnianiem informacji na temat zapłodnienia pozaustrojowego zajmuje się bardzo aktywnie redaktor naczelny portalu fronda.pl, Tomasz Terlikowski. Z wykształcenia filozof, oprócz tego dziennikarz i publicysta. Autor sporej liczby książek, w tym m.in. takich jak: *Tęczowe chrześcijaństwo. Homoseksualna herezja w natarciu* (QLCO Warszawa, 2004), *Moralny totalitaryzm. Bioetyczne dyle-*

maty współczesności (Fronda, Warszawa 2006) oraz *Robienie dzieci. Terlikowski śmiało o in vitro* (Polwen, 2011).

Terlikowski w komentarzu z 2 stycznia 2012 r., który jest odpowiedzią na artykuł Katarzyny Wiśniewskiej pt. „Kościół o «hodowli» in vitro” z *Gazety Wyborczej* napisał:

„Ból i cierpienie dzieci związane jest też, o czym warto przypomnieć, nie z tym, że ktoś mówi prawdę o technice, jaką zostały (bez własnej przecież woli) poczęte, ale z samą techniką. Udawanie, że jest ona [procedura in vitro - przyp. td] czymś dobrym byłoby dokładnie tym samym, co udawanie, że gwałt jest OK, pod pozorem nie dodawania traumy zgwałconym kobietom i nie psucia dobrego samopoczucia gwałcicielom” (W: Tomasz P. Terlikowski, *Nie psuć samopoczucia gwałcicielom, czyli logika „Wyborczej”*, zacerpnięte z fronda.pl).

Kluczowe w tym tekście wydaje się słowo „prawda”, której ujawnienia domaga się autor. O ile artykuł K. Wiśniewskiej w większości traktował o publicznym stygmatyzowaniu dzieci z *in vitro*, o tyle redaktor naczelny frondy.pl poszedł krok dalej i naświetlił swoją prawdę na temat procedury zapłodnienia w szkle:

„Nie jest winą Kościoła, że procedura *in vitro* pociąga za sobą ofiary (średnio dwadzieścia na jedno urodzone dziecko) – pisze w tym samym artykule. – Nie Kościół odpowiada za fakt, że do tworzenia ludzi stosuje się metody weterynaryjne (a takie się stosuje), i nie Kościół ponosi odpowiedzialność za to, że dzieci poczęte z *in vitro* heterogenicznego mają gigantyczne problemy z własną biologiczną tożsamością”.

Nie wiemy, skąd autor czerpie tego typu informacje, ponieważ nie podaje on źródeł, nie powołuje się na konkretne badania ani publikacje naukowe. Wiemy natomiast, że jego przekaz nacechowany jest wrogością, a wręcz agresją do tych wszystkich, którzy mają czelność myśleć i postępować inaczej.

WC do wynajęcia

Popularny podróżnik i publicysta, Wojciech Cejrowski, w wolnym czasie fotograf i pisarz, dawniej naczelny kowboj RP, znany był w połowie lat dziewięćdziesiątych z prowadzenia programu satyrycznego „WC Kwadrans”. Być może dzięki temu przypięto mu łatkę

skandalisty. W jednym z odcinków gościł prof. Mariana Szamatowicza, człowieka, który, jako pierwszy w Polsce, przeprowadził procedurę zapłodnienia pozaustrojowego. Profesor Szamatowicz, udzielając dziennikarzowi wywiadu, zapewnił widzów, że przy procedurach *in vitro* nie wylewa się zarodków, tylko są one mrożone i prędzej czy później znajdują rodziców. Zapewniał, że nie dokonuje się selekcji pod względem płci czy koloru oczu. Pod koniec wywiadu uświadomiony, wydawałoby się, dziennikarz, wyraził swoją aprobatę postawy białostockich naukowców. Zaniepokoiło go jedynie to, że kiedyś mogą pojawić się lekarze, którzy dla pieniędzy zaczną postępować nieetycznie. Na wszelki wypadek nazwał ich „lecarskimi chłystkami”.

Kilkanaście lat później, w roku 2008, Cejrowski napisał manifest o *in vitro*, który zamieścił na stronie swojego „Dziennika pokładowego” oraz niezależnego pisma „Bibula”. Tytuł brzmiał: „In vitro – znaczy w szkle”. Czytamy w nim:

„Jeżeli ktoś z Państwa, czytał ostatnio w prasie inne opisy procesu IN VITRO, jakieś takie bardziej miłe (...) niech wie, że były kłamstwem, manipulacją słowami i Waszymi emocjami”.

W tekście Cejrowski wymienia kilka podpunktów, dotyczących samej procedury zapłodnienia pozaustrojowego:

„1. Lekarz faszeruje kobiety lekami, by uzyskać lawinową owulację (...), gdyż do zapłodnienia w probówce lekarzowi potrzeba całej gromady jajeczek.

2. Lekarz daje mężczyźnie do poglądania pornole i prosi go, by się onanizował w gabinecie (...).

3. Lekarz za pomocą igły wstrzykuje plemniki do komórek jajowych (...) i zgodnie z Naukami Kościoła (...) na świecie pojawia się kilkadziesiąt osób (...).

4. (...) lekarz potrzebuje całej gromady embrionów, gdyby pierwszy zestaw nie zaszczepił się w łonie matki jak należy.

5. Jeżeli w łonie matki przyjmie się np. 6 zarodków, to lekarz dokonuje selektywnych aborcji, czyli wydlubuje te istoty ludzkie, które wyglądają na słabsze (prawo na to pozwala, bo nadmiar embrionów to zagrożenie zdrowia matki).

6. Po dokonaniu sztucznego zapłodnienia i selekcji (...) lekarz pozostaje z lodówką pełną niepotrzebnych osób (...), które kiedyś trafią do utylizacji czyli do kanalizacji” (Internet: <http://www.bibula.com/?p=4237, fragmenty>).

Cejrowski nie podaje źródeł, skąd czerpał informacje, w związku z tym



foto: T. Dawidczuk

Anna Krawczak – wiceprzewodnicząca Stowarzyszenia na rzecz Leczenia Niepłodności i Wspierania Adopcji „Nasz Bocian”.

czytelnik nie może ich skonfrontować. Pozostaje mu więc tylko odbiór na poziomie emocjonalnym. Cel został osiągnięty.

Strumień miłosierdzia

Arcybiskup Tadeusz Pieronek, który jakiś czas wcześniej uznał, że mówienie o wykluczaniu z Kościoła za udział w procedurze *in vitro* jest zgoła przesadzane, zdecydował się zabrać głos w tej sprawie. Wywiadu udzielił portalowi Onet.pl w 2009 roku. Mówił o tym, że każde dziecko jest darem Bożym, niezależnie od tego, jak zostało poczęte. Jednak dary mają to do siebie, że ofiarowuje się je tylko wybranym osobom i nie należy ingerować w to, komu Bóg zysła potomstwo. Według niego twierdzenie, że każde małżeństwo ma prawo do dziecka, przeczy założeniu, że dary otrzymują tylko wybrani. Zdaniem hierarchy, z brakiem potomstwa należy się do prostu pogodzić.

W swojej wypowiedzi abp. Pieronek porównuje *in vitro* do tworzenia potwora z fragmentów ludzkich zwłok, czym zajmował się fikcyjny doktor

Henry Frankenstein w powieści Mary Shelley. Wyraża obawę, że z czasem ludzie zechcą mieć dzieci z określonymi genami, warunkującymi zdolności, usposobienie czy wygląd. Uważa to za makabryczną, ale realną perspektywę.

- Czymże innym jest literackie wyobrażenie Frankensteina, czyli istoty powołanej do życia wbrew naturze, jeśli nie pierwowzorem *in vitro*? – zastanawia się arcybiskup.



Dariusz Krawczak – ojciec dwuletniego Franka.

Inny duchowny, którego personaliów źródło nie ujawnia, podczas wizyty duszpasterskiej wyjawiał głęboko skrywany sekret pewnej rodziny. Piętnastoletni wówczas chłopak chorował na białaczkę. Rodzice pomyśleli, że dobrze byłoby zamówić mszę w intencji jego zdrowia.

- Choroba syna to kara za to, że poczęliście go w próbówce – powiedział ksiądz, odmawiając jednocześnie odprawienia mszy.

Pisał o tym „Tygodnik Ostrołęcki” 18 października 2011 r. w artykule pod tytułem „Ksiądz nie ma wątpliwości. Choroba dziecka to kara za *in vitro*”.

Te lekkomyślne słowa Ojców Kościoła doczekały się odpowiedzi ojca dziecka poczętego metodą *in vitro*, Dariusza Krawczaka.

- To jest moje „non possumus”, które chcę powiedzieć publicznie i głośno w odpowiedzi na słowa biskupa Pieronka, obrażającego nas porównaniem do „realizacji idei Frankensteina”. To jest

mój głos komentujący słowa biskupa Nowaka, który mówi o Tobie, Synku, że przyszedłeś na świat w wyniku morderstwa i manipulacji, a Twoje poczęcie było niegodne. Chciałbym też, aby te słowa usłyszała Joanna Bątkiewicz-Brożek, pisząca w „Gościu Niedzielnym” o tym, że do polskich poradni genetycznych zgłaszają się dzieci z *in vitro*, które umrą w najbliższych latach. Mam nadzieję, że ta ilość chrześcijańskiej troski o naszą rodzinę i Twoją godność nie popchnie nas kiedyś do decyzji o emigracji. Taki nadmiar miłości i zainteresowania ze strony rodaków może nam w końcu zaszkodzić.

Zero przyzwoitości

Podczas wysłuchania obywatelskiego w Sejmie rodzice wiele mówili o swoich uczuciach. O tym, że czują się dotknięci i poniekąd winni temu, że o ich dzieciach mówi się przede wszystkim w kontekście metody poczęcia. Uważają, że stygmatyzacja i podważanie ich godności służą temu, aby zepchnąć ich na margines życia społecznego.

- W debacie publicznej zniesione zostały granice słownej przyzwoitości. Każdy może mówić i pisać na temat *in vitro* oraz choroby, jaką jest nieplodność, co mu się rzewnie podoba i to za przyzwoleniem większości – powiedział jeden z rodziców.

Przejmująco zabrzmiały słowa Krawczaka, opowiadającego o swoim dziecku, które publicznie jest nazywane wybrykiem natury albo produktem zamówionym przy ladzie sklepowej:

- Trzy lata temu w tym miejscu stała moja żona, będąca wtedy w szóstym tygodniu ciąży. Opowiadała o tym, co czuła, będąc świadkiem debaty nad ustawą o zapłodnieniu *in vitro*. Dzisiaj nasze dziecko ma dwa lata. Na imię mu Franek. Franek jest gadatliwy, nie lubi bajki o czerwonym kapturku, bo wilk zjada w niej babcię, na co dwulatek się kategorycznie nie zgadza. Jego idolem jest starszy brat. Uwielbia zupę pomidorową i placki z jabłkami, a codziennie rano budzi mnie słowami: «Wstajemy Tatuś!».

Krawczak nie zamierza się poddawać. Będzie walczył o godność swojego syna.

- Wstaję, Synku!

Tomasz Dawidziuk

Lekarz stażysta.



KLINIKI

Z okazji rocznicy utworzenia kliniki, przypadającej 24 stycznia 2012 roku, Zarząd Oddziału Białostockiego Polskiego Towarzystwa Otolaryngologów Chirurków Głowy i Szyi zorganizował zebranie naukowe. Autor wspomnienia miał przyjemność przedstawić nim dokonania kliniki i zaprezentować fotografie bohaterów, którzy ją tworzyli.

Pod opieką Mistrza

Klinikę Otolaryngologii AMB otwarto 12 stycznia 1952 roku. Mieściła się ona na pierwszym piętrze budynku przy ulicy Sienkiewicza 12. Jej organizatorem był dr n. med. Wiktor Hassmann, powołany przez ówczesnego ministra zdrowia na stanowisko kierownika. Doktor W. Hassmann był znakomitym lekarzem, bardzo dobrym chirurgiem. Ukończył Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego, uzyskał specjalizację pod kierunkiem profesora Jana Miodońskiego, kierownika tamtejszej Kliniki Otolaryngologii. Pierwszymi asystentami w białostockiej klinice byli lekarze Zbigniew Berger i Helena Korn, a pielęgniarką była Irena Romanowska.

We wrześniu 1953 r. klinika otrzymała pomieszczenia na pierwszym piętrze w budynku Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego im. J. Śniadeckiego przy



60 LAT

OTOLARYNGOLOGII UMB

ul. Wojskowej 13. Liczba łóżek wzrosła do 40. Do pracy przybyli nowi, będący bezpośrednio po studiach, lekarze. Byli to: Leontyna Gromow, Barbara Konońska, Aleksander Kowalewski, Emilia Krochmalska (dyplom AMB nr 1, z wyróżnieniem) i Mieczysław Omulecki.

Życie kliniki toczyło się w sali znajdującej się w części środkowej budynku, tuż przed salą operacyjną, gdzie były odpowiednio oświetlone stanowiska do badania chorych. Tutaj przebywał doc. dr n. med. Wiktor Hassmann w otoczeniu asystentów zaszuchanych w opowiadania mistrza. O godzinie 11.00 studenci IV roku Wydziału Lekarskiego rozpoczynali ćwiczenia. Przychodzili również pacjenci do konsultacji. W latach pięćdziesiątych częstymi chorobami były: błonica krtani przebiegająca z objawami ostrej duszności, twardziel, ozena, usznopochodne powikłania wewnątrzczaszkowe i nowotwory.

Dzięki kontaktom naukowym doc. Wiktora Hassmanna mogłem wyjechać do Kliniki Otolaryngologicznej w Brnie oraz Instytutu Morfologii Czechosłowackiej Akademii Nauk w Pradze (stypendium Ministerstwa Kultury Czechosłowacji). Doktor n. med. Jan Pietruski otrzymał stypendium rządu francuskiego. Wybiegając w przyszłość, dr n. med. Elżbieta Hassmann-Poznańska wyjechała do Londynu, w ramach

stypendium British Council. Doktor n. med. Marek Rogowski uzyskał stypendia DAAD i Humboldta, a dr n. med. Stanisław Mnich – stypendium Humboldta.

W 1962 r. Rada Państwa nadała doc. dr. n. med. Wiktorowi Hassmannowi tytuł naukowy profesora. Profesor w tym czasie zajmował się operacjami częściowymi raka krtani, leczeniem chirurgicznym porażenia nerwu twarzowego oraz wpływem hałasu na narząd słuchu.

W kwietniu 1963 r. klinika otrzymała nową siedzibę na drugim piętrze Państwowego Szpitala Klinicznego. Liczba łóżek wzrosła do 60. Życie kliniki, zgodnie z tradycją, nadal toczyło się w sali zabiegowej. W nowych warunkach utworzona została m.in. pracownia morfologiczna, gdzie prowadzono badania nad narządem słuchu i równowagi. Podczas XXVIII Zjazdu Towarzystwa Otolaryngologów Polskich w Lublinie, w 1971 r., profesor Wiktor Hassmann został wybrany na prezesa Zarządu Głównego, a na sekretarza – autor wspomnienia. Na kolejny zjazd towarzystwa w Białymstoku, w roku 1974, przyjechało kilkunastu znakomitych wykładowców z zagranicy. Obrady odbywały się w Teatrze Dramatycznym im. Aleksandra Węgierki, a bal w Auli Wielkiej pałacu Branickich. Zjazdowi przewodniczył profesor Wiktor Hassmann, sekretarzem był doktor Jan Pietruski.

Tematyka badań naukowych asystentów kliniki była zróżnicowana. Zastosowanie nowych technik z wykorzystaniem izotopów promieniotwórczych, elektronowego mikroskopu skaningowego, metod histochemicznych czy badania potencjałów komórkowych sprawiły, że publikacje nasze ukazywały się w renomowanych czasopismach zagranicznych. Klinikę odwiedziło wielu wybitnych chirurgów: prof. Paule Aboulker, Jean Marie Sterkers i Colonna d'Istria z Francji. Profesor dr n. med. Wiktor Hassmann wyjeżdżał do klinik otolaryngologicznych we Freiburgu i w Würzburgu. W czasie powrotu z wakacji uległ wypadkowi drogowemu. Umarł w Poznaniu 28 sierpnia 1976 roku.

Powstawanie nowych klinik

W tym trudnym okresie nawiązaliśmy współpracę z kolegami z klinik warszawskich, m.in. z prof. Andrzejem Kukwą ze Szpitala Czerniakowskiego oraz prof. Janem Kusiem ze Szpitala Białostockiego. Spotkania naukowe odbywały się m.in. w Białowieży, Łomży, Oborach i Zaborowie.

W latach osiemdziesiątych podpisaliśmy (razem z prof. dr hab. Janem Skowrońskim, kierownikiem Kliniki Ortopedii AMB) umowę o współ-

cd. na str. 12 →

cd. ze str. 11 →

pracy z Instytutem Medycznym we Lwowie. Spotkaliśmy się z bardzo życzliwym przyjęciem. Mieszkaliśmy w apartamencie nr 225, w hotelu George, gdzie przed laty, w drodze do Eweliny Hańskiej zatrzymał się Honoriusz Balzac. Mieliśmy okazję zwiedzić Lwów. Widzieliśmy też szpitale niezmiennie od przedwojnia. Profesor Aleksander Kicera, ówczesny kierownik lwowskiej kliniki, erudyta, autor podręczników, oraz profesor Mirosław Kruk wielokrotnie odwiedzali nasz kraj. Przeważnie gościli u nas z okazji zjazdów i konferencji naukowych. Nawiązaliśmy także współpracę z profesorem O. Khorowem z Grodna, który specjalizował się w chirurgii ucha. Kilkakrotnie organizowaliśmy wspólne spotkania naukowe.

Sukcesywnie pracownicy kliniki zostawali ordynatorami w szpitalach wojewódzkich. Byli to doktorzy nauk medycznych: Zbigniew Berger, Maciej Filipowski, Bogdan Łazarczyk i Marek Pyd.

Do osiągnięć kliniki w tamtym okresie należy zaliczyć organizację X Dni Otolaryngologii Dziecięcej w Augustowie w 1993 r. Uczestnicy konferencji do dzisiaj wspominają miłą atmosferę oraz walory uzdrowiska. W nawiązaniu do tradycji, prof. dr hab. Elżbieta Haszmann-Poznańska otworzyła w 1995 roku Klinikę Otolaryngologii Dziecięcej w Uniwersyteckim Dziecięcym Szpitalu Klinicznym. Pierwszy pacjent został przyjęty 1 września 1995 r.

Duża aktywność naukowa zespołu jest widoczna podczas konferencji oraz przejawia się w licznych publikacjach. Według danych Biblioteki Głównej UMB, pracownicy tej kliniki są autorami ponad 480 prac.

W latach dziewięćdziesiątych dr hab. Ewa Olszewska i autor wspomnienia pojechali na szkolenie do Kliniki Otolaryngologicznej w Johns Hopkins Hospital w Baltimore (Maryland, USA), na zaproszenie jej kierownika profesora Charlesa W. Cummingsa. Profesor Cummings jest autorem najlepszego pięcioletniego podręcznika otolaryngologii, który otrzymaliśmy od niego w darze. Współpraca z prof. dr hab. Lechem Chyczewskim w dziedzinie biologii molekularnej umożliwiła rozwój badań nad perlakiem (dr hab. Ewa Olszewska). Doktor hab. n. med. Ireneusz Rzewnicki rozwinął diagnostykę zaburzeń narządu równowagi i jest w tej

dziedzinie autorytetem. Doktor Ewa Popko zasłużyła się w dziedzinie chirurgii plastycznej, a doktor Bogdan Łazarczyk – w chirurgicznym leczeniu zatok obocznych nosa metodą endoskopową. Do ważnych wydarzeń należy zaliczyć XXX Zjazd Polskiego Towarzystwa Otolaryngologów Chirurgów Głowy i Szyi w Mikołajkach w 2002 roku, w którym uczestniczyło wielu wybitnych gości z zagranicy. Jego przewodniczącym był autor opracowania, a sekretarzem dr n. med. Jarosław Łuczaj. W tym samym roku gościliśmy w klinice profesora Jacoba Sade z Izraela, wybitnego znawcę w dziedzinach patofizjologii i chirurgii narządu słuchu.

Patrząc z perspektywy

W 2003 roku, po 27 latach prowadzenia Kliniki Otolaryngologii, przekazałem swoje obowiązki prof. dr hab. Markowi Rogowskiemu. Teraz mam przyjemność obserwować rozwój naszej firmy z perspektywy. Do znaczących jej osiągnięć można zaliczyć wprowadzenie programu wszczepów wewnątrzlimakowych, rozwój chirurgii nosa i zatok oraz podstawy czaszki. Należy wspomnieć w tym miejscu o nowoczesnym wyposażeniu sali operacyjnej. Odwołam się też do danych Biblioteki Głównej uczelni. W okresie sześćdziesięciu lat ukazało się ponad 850 publikacji pracowników kliniki.

W roku 2009 prof. dr hab. Bożena Kosztyła-Hojna zorganizowała Zakład Fonoaudiologii Klinicznej i Logopedii UMB. Zakład mieści się na trzecim piętrze w budynku Wydziału Nauk o Zdrowiu przy ul. Szpitalnej 37. Ma nowoczesne, dobrze wyposażone pracownie. W bieżącym roku studenci tego kierunku rozpoczynają studia magisterskie. Pracownicy zakładu opublikowali 17 prac.

Oczywiście, podobnie jak w innych dziedzinach, obserwujemy zmianę pokoleniową. W zebraniu jubileuszowym otolaryngologów białostockich uczestniczyło 31 osób, w tym 15 rezydentów. Były to m.in. lekarki: Maria Poznańska, wnuczka profesora Wiktora Hassmana, i Gerta Berger, córka doktora Zbigniewa Bergera.

Stanisław Chodynicki

Prof. dr hab. n. med., emerytowany kierownik
Kliniki Otolaryngologii UMB.

Zanim

Antybiotyki są specyficzną grupą leków. Wypisując je pacjentom, przyczyniamy się niejako do występowania oporności bakterii na antybiotyki. Tymczasem z badań przeprowadzonych w Polsce wynika, że około 60 – 90 proc. pacjentów z zakażeniem układu oddechowego opuszcza gabinet lekarski z receptą na antybiotyk. Według tych danych, Polska jest na 9 miejscu w Europie pod względem spożycia antybiotyków na jednego mieszkańca, a dopiero na 15., jeśli chodzi o wydatki na ochronę zdrowia. Statystycznie każdego dnia

Polska jest na 9 miejscu w Europie pod względem spożycia antybiotyków na jednego mieszkańca i dopiero na 15., jeśli chodzi o wydatki na ochronę zdrowia

w Polsce 20 na 1000 osób przyjmuje antybiotyki. Są kraje, takie jak Grecja czy Włochy, które wyprzedzają nas w tych statystykach, ale są też kraje, takie jak Holandia, gdzie spożycie antybiotyków jest dwukrotnie mniejsze niż w Polsce. Od kilku lat nasz kraj włączył się do działań, mających na celu ograniczenie nadmiernego stosowania antybiotyków. Przykładem jest funkcjonowanie od 2004 roku Narodowego Programu Ochrony Antybiotyków, w ramach którego powstały m.in.: *Rekomendacje*

weźmiesz antybiotyki

postępowania w pozaszpitalnych zakażeniach układu oddechowego (dostępne on-line).

Od kilku lat, podobnie jak inne kraje, obchodzimy Europejski Dzień Wiedzy o Antybiotykach. Działania edukacyjne skierowane są do lekarzy i pacjentów. Być może ich efektem jest utrzymywanie się spożycia antybiotyków w Polsce w ostatnich latach na tym samym poziomie. Brak wzrostu wydaje się nam na początek już drobnym sukcesem.

W ubiegłym roku, 19 listopada, w ramach tej imprezy odbyła się w Białymstoku, już po raz czwarty, konferencja pn. „Racjonalna antybiotykoterapia w dobie narastającej antybiotykoooporności”. Tym razem jej główne przesłanie było trochę inne od tych, które przyświecało spotkaniom w ubiegłych latach. Jako organizatorom, chodzi nam przede wszystkim o to, aby promować racjonalne decyzje, czyli sięganie po antybiotyki tylko wówczas, gdy istnieje duże prawdopodobieństwo, że ich zastosowanie będzie korzystne. Organizatorami konferencji byli: Klinika Otolaryngologii Dziecięcej, Zakład Diagnostyki Mikrobiologicznej i Immunologii Infekcyjnej, Zakład Medycyny Rodzinnej i Pielęgniarstwa Środowiskowego oraz Departament Spraw Społecznych Urzędu Miejskiego w Białymstoku. Wykłady wygłosili: dr hab. Sławomir Chlabicz, mgr Jadwiga Jaworowska, dr Maciej Kondrusik, dr hab. Robert Mróz, prof. Elżbieta Ołdak, dr Paweł Sacha, prof. Anna Wasilewska. Prezentacje dotyczyły antybiotykoterapii różnych zakażeń, zarówno w populacji dziecięcej jak i u osób dorosłych, a także diagnostyki mikrobiologicznej, interpretacji wyników lekowrażliwości drobnoustrojów.



Uczestnicy konferencji.

Konferencja spotkała się z dużym zainteresowaniem lekarzy, a liczne pytania do wykładowców świadczą o zapotrzebowaniu na takie spotkania.

Tymczasem sezon na infekcję się rozpoczął. Leczymy się w miarę możliwości bez stosowania antybiotyków. Być może przekonają nas wyniki zakończonego niedawno dużego międzynarodowego badania GRACE (rando-

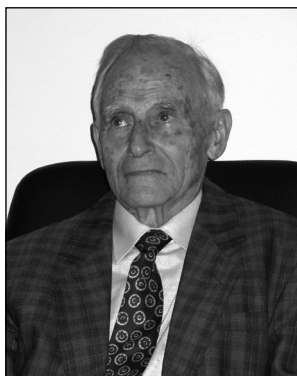
mizowane badanie z podwójnie ślepą próbą), które nie wykazały przewagi antybiotyku (amoksylicyna 3x1,0) nad placebo w leczeniu osób zgłaszających się do lekarza rodzinnego z powodu ostrego kaszlu.

Sławomir Chlabicz

Dr hab. n. med., kierownik Zakładu Medycyny Rodzinnej i Pielęgniarstwa Środowiskowego UMB.

Hasła z ostatnich lat:

- Przeziębienie, grypa – zdrowiej bez antybiotyków
- Antybiotyki niekoniecznie, nie zawsze, nie na wszystko
- Antybiotyki – zachowaj ostrożność



CHAOS

Jurek Owsiak zorganizował po raz kolejny – dwudziesty – imprezę charytatywną dla chorych dzieci i kobiet ciężarnych cierpiących na cukrzycę. I chwala mu za to. Sam mam w domu kilkanaście czerwonych serduszek, zakupionych w ubiegłych latach. Jego akcją popierają przedstawiciele wszystkich szczebli władzy. W końcu dzieci i przyszłe matki to temat chwytliwy, a i rządowi, pod przykrywką styczniowych imprez, łatwiej ukryć własne zaniedbania.

Ludzie dobrej woli, wrzucając datki do puszek wolontariuszy, wykazują oczywiście szlachetność i empatię, ale jednocześnie dają sygnał rządzącym, że rozumieją trudną sytuację finansową kraju, w którym brakuje pieniędzy dla potrzebujących. Nie zastanawiają się jednak nad tym, że działając w ten sposób, zwalniają urzędników państwowych z obowiązków. A przecież zapewnienie opieki lekarskiej obywatelom jest powinnością rządu. Czyż nie mam racji?

Politycy uczyli nas przez lata, że każdy przyzwoity człowiek powinien popierać akcję Owsiaaka. Sami zaś, wykorzystując w tym celu media, starają się, pod płaszczykiem tego charytatywnego wydarzenia, ukryć niewywiązywanie się z obowiązków wobec społeczeństwa. Chodzi mi między innymi o brak realizacji postanowień zapisu o obowiązku zapewnienia obywatelom opieki zdrowotnej, którą – jakby nie patrzyć – gwarantuje nam Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej.

Jak wyglądają realia? Za fatalną organizację pracy władzy odpowiedzial-

ność ponoszą najczęściej obywatele. Tym razem winą obarczono lekarzy. W nowym roku 2012 rządzący wymyślili, że będą ich karać za niepoprawnie wypisane recepty. A przecież nie ma takiej możliwości, aby w jakimkolwiek państwie prawa wprowadzony z dnia na dzień nowy przepis zaczął natychmiast funkcjonować. Tym bardziej jeśli ustawa o refundacji leków była, jak to miało miejsce w tym przypadku, niedopracowana czy wręcz pisana na kolanie.

Nie będę przytaczał komentarzy, które pojawiły się w związku z tą sytuacją w mediach, nie wspomnę też o protestach lekarzy i farmaceutów, bo i po co? Ustawodawcy i tak to wiedzą, tylko – co muszę przyznać ze zmartwieniem – w żaden sposób nie wpływa to negatywnie na ich samopoczucie. Niestety, jak dotąd, ani jeden z ministrów zdrowia – jedni byli na Miodowej dłużej, inni krócej – nie opracował i nie wdrożył logicznego, na miarę 40-milionowego społeczeństwa, systemu opieki zdrowotnej. Było wiele projektów i obietnic, ale wkrótce o nich zapomniano. Nie można przecież kontynuować reformy lecznictwa, której tak naprawdę nie zaczęto. Jedynymi próbami ratowania gigantycznie rosnących zadłużeń są działania doraźne, czyli prywatyzacja niektórych szpitali i ZOZ-ów. Skończyły się bowiem czasy dobrego wujka, który spłacał wszelkie długi.

Każdemu z nas, myślącemu człowiekowi, trudno pojąć, dlaczego przez 20 lat nie opracowano wieloletniego programu i nie wykorzystano w tym celu doświadczenia innych krajów UE, w których system opieki medycznej funkcjonuje dobrze. Myślę tu np. o Francji, Niem-

czech, Danii, Belgii czy Włoszech. Czy my, Polacy, musimy jak zwykle starać się wymyślić coś lepszego od innych? Odpowiadam: MUSIMY! I dlatego skutki mamy takie, jakie mamy. A jakie?

W styczniu tego roku wprowadzono nowe przepisy, ale jednocześnie nie określono dokładnie daty ich wejścia w życie. Nie podano też terminu, od którego poprzednie zarządzenie straciło moc. W ten sposób ustawy nałożyły się na siebie, powstał zamęt i nikt nie wiedział, jak załatwić nawet najprostszą sprawę. Chaos spowodował zamieszanie.

Czy tak trudno zrozumieć, że przepisy powinny być jasne i dla wszystkich zrozumiałe? Jeśli się tak nie stanie, to nie pomogą nawet ogromne środki finansowe przeznaczone na medycynę ratunkową, helikoptery, lądowiska w szpitalach itd. Pytam więc: kiedy wprowadzi się zrozumiałe przepisy, profesjonalne procedury wdrażania ich w życie i czy wreszcie poznamy plan działania rządu w kwestii ochrony zdrowia na najbliższe lata?

W świecie chaosu pozostaje jeszcze jedno ważne pytanie, na które nie tylko ja chciałbym usłyszeć odpowiedź: dlaczego nie rozwinięto i nie wdrożono w całym kraju śląskiego systemu kart elektronicznych, dobrze sprawdzającego się tam od dziesięciu lat, takiego właśnie, jaki działa we wspomnianych krajach Unii Europejskiej?

Jan Pietruski

*Doc. dr hab. med., emerytowany pracownik
Kliniki Otolaryngologii UMB,
członek honorowy Światowej Unii Lekarzy Pisarzy.*

Wylądował w Teksasie

Kiedy 25 lat temu Jerzy Sarosiek (wówczas dr hab. n. med.) wyjeżdżał na stypendium do New York Medical College w USA, nawet mu przez myśl nie przeszło, że do Polski nie wróci. Nie wiedział też, że już nigdy nie będzie leczył pacjentów. Życie napisało mu inny scenariusz. Został naukowcem w USA.

To nie było jego pierwsze stypendium w Stanach. Cztery lata wcześniej był również w Nowym Jorku.

- Tym razem też myślałem, pewnie tak jak każdy stypendysta, że pojedę, nauczę się czegoś nowego, a potem przeniosę to na polskie realia – opowiada.

Niestety, wydarzyło się coś nieoczekiwanego, co zmieniło jego plany. Pod koniec kwietnia doszło do awarii elektrowni w Czarnobylu.

- Radioaktywność, która pojawiła się po tym wybuchu, wywołała w USA wielką sensację, ale i wielki niepokój – opowiada prof. Sarosiek. - Publikacje, które się tu ukazywały, informowały, że promieniowanie jest olbrzymie i zagraża szczególnie dzieciom. Podjąłem decyzję: jeśli tylko rząd Polski na to pozwoli, sprowadzę do Stanów żonę z dziećmi. Na jakiś czas tylko, do chwili aż radioaktywność osłabnie.

I co dziwne, żona prof. Sarosieka dostała zgodę na wyjazd (wówczas była potrzebna zgoda władz polskich, by otrzymać paszport) i amerykańską wizę. Wczesną jesienią 1986 roku pani Irena z trójką dzieci: 8,5-letnim Konradem, 6,5-letnim Krzysztofem i 5-letnią Aleksandrą przylecieli do Nowego Jorku. Jak opowiada nasz bohater, przyjazd dzieci do Stanów był ważny również z innego powodu:

- Moje dzieci – cała trójka – miały poważne choroby oczu. Co gorsza, nie były one w Białymstoku właściwie leczone. Specjaliści amerykańscy, do których od razu po przyjeździe zaprowadziłem dzieci, ocenili, że potrzebują one bardzo dynamicznej terapii, żeby nadrobić za-



Prof. Jerzy Sarosiek z rodziną.

niedbania. Muszę dodać, że córka miała w Polsce, w Lublinie, operację i widzenie w jednym oku się poprawiło, ale w drugim się pogorszyło. W USA lekarze powiedzieli, że musi przejść kolejne operacje. Młodszy syn miał tak zaawansowaną chorobę, że prawie stracił już wzrok w jednym oku.

Po usłyszeniu takiej diagnozy, państwo Sarosiek podjęli decyzję, że nie wrócą do Polski, dopóki nie wyleczą dzieci. A dopiero po pięciu latach lekarze stwierdzili, że zrobili już wszystko, co było w ich mocy. Wtedy Sarosiekowie znów stanęli przed decyzją: zostać w Stanach czy wracać do Polski.

- Ja byłem otwarty na powrót – opowiada nasz bohater. - Miałem habilitację i możliwości robienia kariery naukowej w Polsce. Pocięchy jednak nie chciały o tym słyszeć.

Rzucone na głęboką wodę

Przyznaje, że je rozumiał.

- Kiedy przyjechaliśmy do Stanów, dzieci poszły do szkoły, każde do innej

klasy, w której nikt nie mówił po polsku – opowiada. - Amerykańskie dzieci, słysząc, jak one mówią po angielsku, śmiały się z ich wymowy. A one ogromnie się tym stresowały, wracały do domu z bólami żołądka na tle nerwowym. Doszliśmy do wniosku, że gdy wrócimy do Polski po pięciu latach, znowu zafundujemy im ten sam stres.

Ponadto prof. Sarosiek przyznaje, że poziom edukacji w Polsce jest znacznie wyższy niż w USA. Obawiał się, że cała trójka będzie miała problemy w szkole.

- One w Stanach były szczęśliwe: uczyły się bardzo dobrze, świetnie się tam czuły, miały przyjaciół – mówi. - Uznałem, że byłoby to nie w porządku, gdybym ze względu na swoje ambicje zawodowe naraził je na kolejne piekło adaptacyjne. Dlatego też podjęliśmy decyzję: zostajemy.

Przyznaje, że sam również, im dłużej był w Stanach, tym lepiej odnajdywał się w tym środowisku. Po trzech latach pobytu na stypendium w NYMC, Jerzy Sarosiek otrzymał propozycję ob-

cd. ze str. 15 →

jęcia stanowiska kierownika laboratorium gastrologicznego w University of Virginia i tytuł „Associate Professor of Medicine” (tytuł profesora zwyczajnego „Professor of Medicine” otrzymał osiem lat później w 1997 roku). Na uczelnię tę przyjechał z Australii dr Barry Marshall, który opracowywał właśnie nową koncepcję etiologii choroby wrzodowej żołądka. Uważał, że chorobę tę wywołuje bakteria *Helicobacter pylori*.

- Barry Marshall zajął się aspektem badań klinicznych tej choroby – opowiada. - Ja zaś prowadziłem badania laboratoryjne nad tą bakterią. Już wcześniej przez wiele lat zajmowałem się badaniem mechanizmów obronnych, które zapobiegają uszkodzeniu przez leki aspirynopodobne śluzówki przewodu pokarmowego, szczególnie żołądka. Uznałem, że to bardzo prawdopodobne, że bakteria, jako dodatkowy czynnik, może mieć udział w powstawaniu wrzodów. Opublikowaliśmy z dr. Barrym Marshalllem wiele prac na ten temat. Jedną z najciekawszych ukazała się w *American Journal of Gastroenterology*¹.

Barry Marshall udowodnił swoją koncepcję i wrócił do Australii. W 2005 roku za badania nad chorobą wrzodową żołądka otrzymał Nagrodę Nobla. Z kolei dr Sarosiek, po dziesięciu latach pracy na University of Virginia, dostał intratną propozycję pracy na University of Kansas Medical Center. Tam przez kolejne dziesięć lat pracował jako kierownik badań naukowych i jako mentor szkolący początkujących gastrologów. Trzy lata temu pojawiła się kolejna propozycja – etat zastępcy dyrektora ds. naukowych w Departamencie Chorób Wewnętrznych i kierownika Laboratorium Medycyny Molekularnej w Texas Tech University Health Sciences Center, PLF School of Medicine w El Paso. Sarosiek zajmuje się tam kształceniem asystentów, którzy obejmują kliniczne etaty na teksańskim uniwersytecie, pomaga im w badaniach naukowych, opracowywaniu nowych koncepcji naukowych, pisaniu i wdrażaniu grantów. Kształci też rezydentów – uczy ich m.in., jak prowadzić badania naukowe. W swoim laboratorium zatrudnia też lekarzy z Polski.

Życie bez luksusów

Nigdy nie nostryfikował dyplomu.

- Uważałem, że jeśli będę się nostryfikował, nie będę mógł się skupić na badaniach naukowych – tłumaczy. - Mogłem badać pacjentów w zakresie naszych badań i to mi wystarczało. Ponadto na nostryfikację poświęciłbym bardzo dużo czasu, a ja musiałem pracować, żeby zapewnić byt mojej rodzinie.

Przyznaje, że przez pierwsze lata – szczególnie, kiedy jeszcze otrzymywał pensję stypendysty – jego rodzina żyła bardzo skromnie. Tym bardziej że żona, pracująca w Polsce jako ginekolog, przez pierwsze trzy lata nie mogła w Stanach podjąć pracy.

- Na początku naszego pobytu, kiedy dzieci przychodziły ze szkoły z bólami żołądka, a następnego dnia wstawały i szły do szkoły, zastanawialiśmy się z żoną, dlaczego się nie buntują – opowiada. - Bunt przyszedł po miesiącu.

Akademii Medycznej w Białymstoku zawdzięczam wiedzę, a także umiejętność analitycznego i krytycznego myślenia

Co się okazało? Przez pierwszy miesiąc codziennie na lunch w szkole było coś innego, nowego, atrakcyjnego. Kiedy im się to już „przejadło”, chciały rzucić szkołę. W domu nie było nas stać na luksusy, moje pobory były bardzo skromne, żyliśmy poniżej standardu.

Sytuacja państwa Sarosieków poprawiła się w 1989 roku, kiedy pani Irena mogła pójść do pracy. Wybrała podobną ścieżkę kariery co mąż – zajęła się badaniami naukowymi w gastrologii.

Profesor Sarosiek podkreśla, że po przyjeździe do Stanów wiele rzeczy go zaskoczyło – m.in. komputery oraz aparatura w laboratorium.

- Ale to, co było naszą ogromną siłą, to edukacja uzyskana w Polsce. Akademii Medycznej w Białymstoku zawdzięczam wiedzę, a także umiejętność analitycznego i krytycznego myślenia – mówi zdecydowanie.

Solidne podstawy

Profesor Sarosiek pochodzi z okolic Sokółki. Jak podkreśla, nie miał problemów z nauką na studiach, w dużej mierze dzięki edukacji wyniesionej z liceum ogólnokształcącego w Sokółce.

- Miałem tam doskonałych profesorów – wspomina. - Część z nich przybyła po wojnie z Wilna, gdzie wykładali na uczelniach wyższych. Niektórzy z nich mieli nawet doktoraty. Wypracowali znakomity sposób uczenia. Dostanie się na Akademię Medyczną nie było problemem. Na studiach miałem też bardzo dobre stopnie i, co było wówczas dla mnie bardzo ważne, dostawałem 1000 zł stypendium naukowego, a to był duży zastrzyk finansowy.

Jak mówi, od początku studiów fascynowały go badania naukowe.

- Profesorowie: Juliusz Popowicz, Krzysztof Zwierz i Andrzej Gindziński – to byli moi liderzy, myśliciele, którzy rozbudziili we mnie ogromne zamiłowanie do badań naukowych – wspomina.

Po skończeniu studiów, prof. Beata Bogdanikowa zaproponowała mu pracę w Instytucie Chorób Wewnętrznych (i była również promotorem jego pracy doktorskiej). Specjalizację zrobił w Klinice Reumatologii u prof. Krystyny Bernackiej. Jednocześnie współpracował też naukowo z Kliniką Gastroenterologii, kierowaną przez prof. Antoniego Gabryelewicza.

W pracy poznał też przyszłą żonę.

- Byłem adiunktem, a żona studentką – opowiada. - W Ameryce taki związek byłby niedopuszczalny, asystent nie może wchodzić w związki emocjonalne ze swoją studentką. A w Polsce było na to ciche przyzwolenie. Można powiedzieć, że to był pozytywny aspekt komunizmu.

W czasie studiów Jerzy Sarosiek angażował się w teatr studencki, ćwiczył judo, był też skoczkiem spadochronowym i pilotem szybowców w Aeroklubie Białostockim. Wykonał 86 skoków spadochronowych.

¹ *American Journal of Gastroenterology*, tom 86 (Nr 6) str. 729-54, 1991.

- Kiedy oświadczyłem się mojej żonie, usłyszałem, że owszem wyjdzie za mnie, ale pod warunkiem że więcej nie będę skakać – wspomina z uśmiechem.
- Powiedziała, że od tej pory ona będzie moim spadochronem, a ona może funkcjonować tylko na ziemi.

Rodzinnie w medycynie

Jerzy Sarosiek ma 66 lat, ale energii i zapału więcej niż niejeden młody naukowiec. Jak mówi, chce pracować i uczyć studentów, tak długo, dopóki starczy mu sił. Póki co pisze artykuły (ma ponad 110 publikacji zamieszczonych w czasopismach, ponad 20 rozdziałów w książkach i ponad 200 prezentacji badań naukowych), udziela się w Komitecie naukowym Światowej Organizacji ds. Badań Przelętku (OESO). Ma dwa patenty zatwierdzone przez urząd patentowy USA. Cieszy się, że dzieci – cała trójka – mają związek z medycyną. Najstarszy syn Konrad ukończył studia medyczne i jest chirurgiem. Młodszy syn Krzysztof jest absolwentem genetycznej biologii molekularnej na University of Florida. Teraz kształci się na studiach podoktoranckich na Harvard University.

- Zajmuje się badaniami nad rakiem, czyli robi to, o czym ja zawsze marzyłem – opowiada nasz bohater.

Najmłodsza z jego dzieci, Aleksandra, skończyła prawo na University of Southern California.

- Stwierdziła, że w naszej rodzinie jest tylu doktorów, że oni będą potrzebowali prawnika. I zajęła się zagadnieniami błędu w sztuce lekarskiej – mówi.

Katarzyna Malinowska-Olczyk

Rzecznik prasowy USK w Białymstoku.

Sprostowanie

W numerze MB 1/2012, w artykule „Pod klonowym liściem”, autorstwa Katarzyny Malinowskiej-Olczyk, podaliśmy błędną nazwę cyklu. Bardzo przepraszamy za pomyłkę i zamieszanie Autorkę i P.T. Czytelników. Wyjaśniamy, że w powyżej serii „Z dyplomem UMB w świat” będą przedstawiane sylwetki abiturientów UMB, którzy szukali szczęścia poza Polską, ale również i tych, którzy swoją przyszłość budowali w naszym kraju.

Redakcja

Nie wszystkim umrę

Profesor Andrzej Szczeklik zmarł 3 lutego 2012 roku, po krótkiej walce z chorobą, w zacszu Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Krakowie. W lipcu skończyłby 74 lata.

Wszyscy jesteśmy Jego uczniami

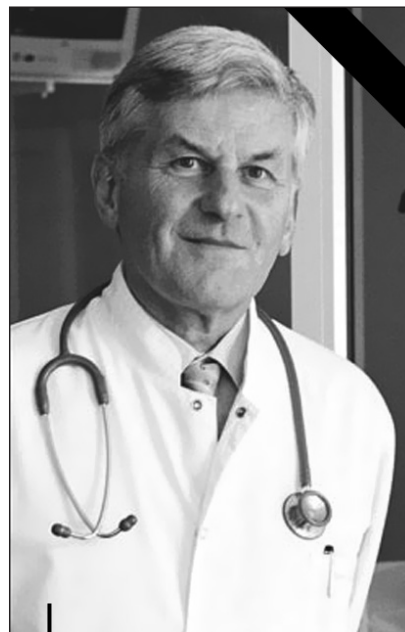
Lekarzom nie trzeba przedstawiać prof. Andrzeja Szczeklika ani tym bardziej jego osiągnięć naukowych. Wszyscy mieliśmy nieraz okazję czerpać z jego wiedzy i doświadczenia, których ukoronowaniem był między innymi pierwszy w Polsce, multimedialny, regularnie aktualizowany podręcznik interny. Nie ma chyba takiego lekarza, który nie znałby książki pt. *Choroby wewnętrzne*, autorstwa Profesora. Wielu ma ją na swojej półce lub chociaż w miniaturowej wersji w kieszeni fartucha. Takie było założenie. Chodziło przecież o dostępność do najnowszych informacji o chorobach wewnętrznych i szybką możliwość skonfrontowania wiedzy.

Jednak jak twierdził prof. Szczeklik, chociaż wiedza jest ważna, najważniejsze są dobro i zdrowie drugiego człowieka. Zdrowie, które pacjent z ogromnym zaufaniem powierza swojemu lekarzowi i którego odzyskanie jest wypadkową sprawnie zebranego przez lekarza wywiadu, jego praktycznych umiejętności oraz cech indywidualnych, takich jak zdolność słuchania i wykazywania empatii.

Profesor Szczeklik uczył nas nie tylko interny. Mówił i pokazywał na własnym przykładzie, jak zachować wrażliwość i nie dać się „znieczulić”, wykonując zawód, w którym na co dzień obcuje się z nieszczęściem.

Pamięć, która przetrwa

Już starożytni Egipcjanie wierzyli, że aby zyskać upragnioną nieśmiertelność, należało za wszelką cenę sprawić, aby



Prof. dr hab. Andrzej Szczeklik (1938 – 2012).

Źródło: Internet: www.google.pl/imgres?q

imię zmarłego pozostawało w pamięci kolejnych pokoleń. Stąd wielkie grobowce wykute w skałach, piramidy, malowidła ścienne i hieroglify, które opisywały życie zmarłych królów znad Nilu. Na ścianach kamiennych nekropoli wryto ich imiona, a ci, którzy je odczytali i przekazali współczesnym, przyczynili się do wiecznego życia starożytnych władców.

Profesor Szczeklik, niczym Horacy, postawił sobie pomnik trwalszy niż ze spiżu, tylko że jego pomnikiem jest interneta. W obliczu pustki, jaka powstała w tamten lutowy dzień, nie pozostaje nic innego, jak tylko podziękować Panu Profesorowi za wszystko, co nam przekazał. Za to, że otworzył oczy szerokiemu gronu naukowców i klinicystów na fakt, że prawdziwym lekarzem może zostać wyłącznie ktoś, kto wie, co to znaczy człowieczeństwo. Tego powinniśmy się nauczyć od prof. Andrzeja Szczeklika.

Tomasz Dawidziuk

Lekarz stażysta.

Dama hultajka

Wspomnienie o Wisławie Szymborskiej

Pierwszego spotkania z poezją Szymborskiej nie pamiętam. Prawdopodobnie nastąpiło ono jeszcze w dzieciństwie. W pamięć zapadła mi za to przeprowadzona w jednej ze szkół podstawowych lekcja pokazowa. Zajęcia dotyczyły wiersza pod tytułem *Cebula*. Uczniowie otrzymali do rąk cebulę. Mogli jej dotykać, wachać ją i obierać. Niektórzy próbowali podgryzać warzywo. Następnie opisywali jego wygląd. W oparach charakterystycznego zapachu interpretacja wiersza dokonywała się sama. Wyostrzone zmysły sprawiały, że trudny z pozoru utwór nagle stawał się zrozumiały. Wszystko jasne! Przecież chodzi o ludzką naturę, sprzeczną, tajemniczą i przez to niezwykle ciekawą... *Co innego cebula. / Ona nie ma wnętrzości. / Jest sobą na wskroś cebula, / do stopnia cebuliczności.*

Prostota i delikatność

Prostota i delikatność w opisywaniu świata to cechy poezji Wisławy Szymborskiej. Jej twórczość przynosi ukojenie. Uczucia, jakie pojawiają się w czasie lektury, najlepiej chyba opisuje fragment wiersza *Nic dwa razy*: „jakby róża przez otwarte spadła okno”.

Wisława Szymborska kochała ludzi. Obserwowała ich z sympatią, ale umiarkowaną. Kochała życie, choć była to miłość pozbawiona złudzeń. Miała potrzebę dystansu. Do siebie i świata. W prosty sposób pisała o rzeczach trudnych.

Szymborska była damą. Elegancka, skromna starsza pani, przebywając w otoczeniu przyjaciół, co chwila wybuchała śmiechem niczym nastolatka. Kiedy czytała swoje wiersze, spuszczała wzrok i w zamyśleniu odwracała głowę... W jej oczach pojawiał się smutek.

Wisława Szymborska zmarła 1 lutego 2012 r. w Krakowie. Miała 89 lat. W kronice Gimnazjum Sióstr Urszulanek przy ulicy Starowiślniej w Krakowie, do którego w latach 1936 – 1937 uczęszczała, zachował się niemalże proroczy zapis: „Będzie



Wisława Szymborska (1923 – 2012).
Źródło: Internet: Wikimedia Commons.

sławną autorką w rodzaju Marka Twaina albo Makuszyńskiego. (...) Dostanie w przyszłości Nagrodę Nobla”.

Mała płotka

Rok 1996. Prorocze słowa nauczycielki się spełniają. Wisława Szymborska otrzymuje Nagrodę Nobla. Czesław Miłosz dzwoni do niej z gratulacjami. Poetka skromnie oświadcza: „Mój Nobel jest jak mała płotka przy wielkim szczupaku”. Na co Miłosz jej odpowiada: „Prześtań gadać głupoty. (...) Ty jesteś naprawdę niezrozumiała. I to jest wspaniałe”. „Bo ja nie mam powodu” – mówi ze śmiechem Szymborska.

Była szczerze zakłopotana przyznając jej nagrodę. Nazwała ją żartobliwie „tragedią sztokholmską”. Zainteresowanie mediów peszyło Szymborską. Pragnęła pozostać sobą, nie chciała być celebrytką.

Kolacyjki i loteryjki

Szymborska lubiła podróżować. Ubóstwiała fotografować się pod tablicami ze śmiesznymi nazwami miejscowości. Z nieskrywaną przyjemnością zapoznawała przed tablicą z napisem „Hultajka”.

Poetka bardzo dbała o swych przyjaciół. Z każdej zagranicznej podróży przywoziła im prezenty. Upominki tworzyła również sama. Miały formę gazetowych kolaży, składających się ze słów i z wyrażen określających obdarowywaną osobę – jej charakter, pasje, marzenia.

Wierna swoim małym dziwactwom, organizowała dla bliskich znajomych „kolacyjki” kończące się „loteryjką”, w trakcie której goście losowali z kapelusza fanty. Były to zazwyczaj kiczowate bibeloty, obiekty zachwyty poetki. Pisarz Jerzy Pilch podsumował owe zainteresowanie noblistki słowami: „Kto czyta Ojców Kościoła i zna się na filozofii, ten ma prawo do kiczu”.

Wisławę Szymborską pochowano na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Uroczystości miały charakter świecki, bo tak zażyczyła sobie w pozostawionym testamencie. Urna z prochami poetki została złożona do rodzinnego grobowca przy dźwiękach utworu Elli Fitzgerald, jej ukochanej artystki.

Katarzyna Karpacz

Doktorantka na Wydziale Filologicznym UwB,
studentka psychologii na NWSP.

Tajemnica Sokratesa

Dzień Świętego Walentego, przypadający na 14 lutego, jest nie tylko świętem zakochanych, ale także Dniem Osób Chorych na Padaczkę.

Dziś już wiemy, że padaczka jest chorobą przewlekłą o złożonej i różnorodnej etiologii. Charakteryzuje się występowaniem nieprovokowanych napadów padaczkowych – stereotypowych epizodów o nagłym początku, w czasie których mogą występować zaburzenia świadomości, zachowania, emocji i czynności ruchowych, czuciowych lub wegetatywnych. Przez wieki padaczka utożsamiana była z klątwą bogów, uważano ją za chorobę zakaźną lub umysłową.

Gdy przeanalizujemy historię świata, odnajdziemy w niej dyktatorów, przywódców, carów, polityków, filozofów, pisarzy i muzyków dotkniętych tą chorobą. Wśród nich był Sokrates, jeden z największych filozofów greckich.

Coś ty zrobił, Sokratesie

Gdy przyszedł na świat w 469 p.n.e. w Atenach, nikt się nie spodziewał, że zostanie jedną z najbardziej tajemniczych postaci w całej historii filozofii. Był synem kamieniarza Sofroniskosa i akuszerki Fainarete. Całe życie spędził w Atenach, tam też założył rodzinę. Jego żoną była Ksantypa, z którą miał trzech synów. Sokratesa można było spotkać na ulicach miasta, gdzie nauczał i prowadził dysputy z przypadkowymi ludźmi.

Brał udział w kilku bitwach podczas wojen peloponeskich, w których wykazał się odwagą, wytrzymałością fizyczną i psychiczną. Jednak nie to spowodowało, że zapisał się na kartach historii. Mimo że nie pozostawił po sobie żadnej książki, wywarł ogromny wpływ na rozwój myśli filozoficznej. Dlaczego?

Sokrates nie pisał, tylko rozmawiał. Jego sposób konwersacji polegał na wydobyciu wiedzy od „zwykłych” ludzi. W czasie pogawędki zmuszał rozmówcę do dostrzeżenia niedoskonałości w swoim

schemacie myślenia. Innym sposobem prowadzenia dialogu była metoda, nazwana „sokratyczną ironią”. Nic więc dziwnego, że uliczne dyskusje były przyczyną rosnącej niechęci do filozofa: „... Niełatwo znajdziecie drugiego takiego, któryby tak, śmiech powiedzieć, jak bąk z ręki boga puszczony, siadał miastu na kark; ono niby koń wielki i rasowy, ale taki duży, że gnuśnieje i potrzebuje jakiegoś żądła, żeby go obudziło”.

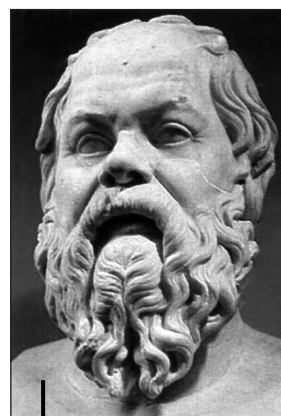
Dodatkowo filozof wierzył w absolutne dobro i zło. Cnota według niego była

„Zaczęło się to, gdy byłem dzieckiem, to jest głos, a kiedy mówi do mnie to odciaga mnie od tego, co robiłem”

Sokrates

dobrem bezwzględny i najwyższy: „Czyż nie wstydzisz się dbać o pieniądze, sławę, zaszczyty, a nie o rozum, prawdę i o to, by dusza stała się najlepsza?” oraz wiedzą: „Jest to jedno i to samo wiedzieć, co jest sprawiedliwe i być sprawiedliwym”. Zło natomiast, wedle jego opinii, było wyrazem niewiedzy i niewystarczającego poznania dobra.

Sokrates, jako pierwszy, wyróżnił dobra moralne. Był pierwszym reprezentantem moralizmu: „Pożytek zależny jest od dobra, tylko to, co dobre jest naprawdę pożyteczne”. Dodatkowo zajmował się aspektem duszy: „Dobro własnej duszy jest dla każdego rzeczą najważniejszą, ważniejszą niż zdrowie i powodzenie, ważniejszą nawet niż życie i ważniejszą niż wszelkie sprawy publiczne”. Podejście do swojej wiedzy i przekonań Sokrates zawarł w jednym zdaniu „Wiem, że nic nie wiem” (łac. *Scio me nihil scire* lub *scio me nescire*).



Sokrates (469 p.n.e. – 399 p.n.e.)

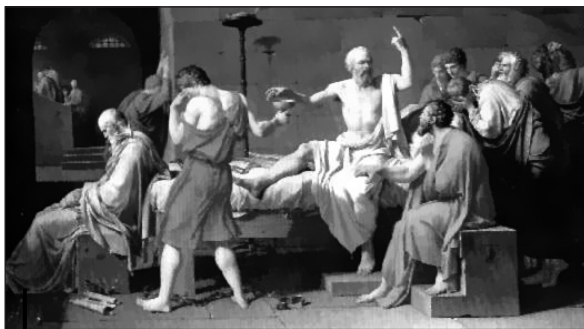
Źródło: Internet: *Polski Portal Kultury*

Sokrates nie należał do ludzi pięknych ciałem: „Był mały i gruby, miał wylupiane oczy i zadarty nos, jednak jego mądrość przerastała współczesnych mu filozofów”. Mądrość ta stała się przyczyną jego śmierci. Gdy miał 70 lat, został postawiony przed trybunałem. Zarzuty, które mu postawiono, dotyczyły „niewyznawania bogów, których uznaje państwo, a wyznawania bogów, których nie wyznaje państwo oraz psucie młodzieży”. W roku 399 p.n.e. został skazany na karę śmierci przez wypicie cykuty.

2400 lat później

Co było przyczyną tego, że zaczęto zastanawiać się nad możliwością występowania padaczki u Sokratesa?

Otóż niektóre tajemnicze wypowiedzi filozofa zaintrygowały badaczy i stały się tematem ich dyskusji. Szczególne zainteresowanie w tej kwestii wykazali Osamu Muramoto i Walter G. Englert. Wykorzystując najnowocześniejsze metody badawcze, naukowcy poddali analizie antyczną literaturę, mając nadzieję, że znajdą w niej dowody, potwierdzające hipotezę o chorobie filozofa. Badano zapiski Platona oraz cztery pisma Ksenofonta, które szczegółowo opisywały zachowanie i wypowiedzi Sokratesa. Badacze skupili się przede wszystkim na opisach, które



Obraz przedstawia śmierć Sokratesa w więzieniu ateńskim („Śmierć Sokratesa”, J. L. David, 1787, Nowy Jork, Metropolitan Museum of Art).
Źródło: Internet: *Historia Sztuki*; bank ilustracji.

mogłyby sugerować unikalny neurologiczny i psychiatryczny stan filozofa. W tym celu korzystali z zapisów w języku angielskim i z oryginalnych tekstów greckich.

Początku choroby u Sokratesa można doszukiwać się już w okresie jego dzieciństwa. Filozof doświadczał okresowych wizyt głosów, które nazywał „znakami bożymi”, „znakami duchowymi”, „moją proroczą mocą” lub „Dimon” z języka greckiego. Filozof opisuje te doświadczenia następująco: „Zaczęło się to, gdy byłem dzieckiem, to jest głos, a kiedy mówię do mnie to odciąga mnie od tego, co robiłem” (*Apology* 31d).

Te dziwne akustyczne zjawiska pojawiały się u niego nieoczekiwanie i niezależnie od woli. Najczęściej był to krótki głos, który zabraniał inicjowania określonych czynności. Pomimo że głosy były epizodami subiektywnymi, odnaleziono również obiektywne opisy niezwykłych zachowań, utrwalonych przez przyjaciół filozofa.

„Sokrates jest tutaj, ale stoi u sąsiada na ganku. Stoi tam i nie chce przyjść mimo, iż go wołałem kilkakrotnie». «Dziwne» – odpowiedział Agaton. «Wróć i przyprowadź go z powrotem». Aristodamus zatrzymał go. «Nie, nie! – powiedział. Zostaw go w spokoju. To jeden z jego nawyków: tak jak teraz i później stoi tak bez ruchu. Jestem pewien, że przyjdzie w najbliższym czasie, więc nie przeszkadzaj mu, niech tak będzie.»” (*Symposium* 175a-b).

Wyżej przytoczony fragment dotyczy spotkania Sokratesa z Agatonem i Aristodamusem przed uroczystą kolacją. Nie jest to jedyny opis takiego zachowania filozofa.

Analizując literaturę antyczną, badacze znaleźli dowody na to, że od okresu dzieciństwa, poprzez całe swoje dorosłe życie, Sokrates doświadczał krótkich, stereotypowych głosów, które były najprawdopodobniej napadami częściowymi

prostymi padaczki skroniowej. Epizody te były najczęściej powiązane z rozpoczęciem działań lub wykonaniem pewnych czynności, takich jak: mówienie, stanie czy chodzenie. Poprzedzał je okres zmieszania i niepamięci wstecznej. Według badaczy, towarzyszący temu amnestyczny okres mógł być krótkim, częściowym złożonym napadem po napadzie częściowym prostym.

Nie znaleziono natomiast żadnych dowodów na wystąpienie wtórnie uogólnionych napadów padaczkowych oraz na postępujący spadek funkcji poznawczych u Sokratesa. W związku z tym przypuszczać można, że padaczka skroniowa w tym przypadku miała przebieg łagodny i stabilny.

Dlaczego więc dopiero 2400 lat po śmierci wielkiego filozofa postawiono takie rozpoznanie? Głównym powodem jest to, że ówczesne pojęcie padaczki obejmowało tylko objawy związane z napadami uogólnionymi. I chociaż Hipokrates, rówieśnik Sokratesa, napisał pracę naukową na temat padaczki, zatytułowaną *Święta Choroba*, to nie rozważał tam istnienia bezdrgawkowej postaci padaczki.

Skroniowa postać padaczki zatwierdzona została po raz pierwszy dopiero w XIX wieku. Natomiast rozpoznanie łagodnej postaci skroniowej padaczki u pacjentów, mających jedynie napady częściowe i złożone proste, stało się możliwe wówczas, gdy badanie EEG stało się rutynowym narzędziem diagnostycznym.

Wyniki badania przedstawione przez Osamu Muramoto i Waltera G. Englerta ukazują, że znajomość nowoczesnej epileptologii może pomóc zrozumieć niektóre zachowania postaci historycznych.

Agnieszka Ponurkiewicz

Lek., Zakład Opieki Zdrowotnej MSWiA w Białymstoku.

Wojciech Sobaniec

Prof. dr hab., kierownik Kliniki Neurologii i Rehabilitacji Dziecięcej UMB.

0 chorobie Van Gogha

W numerze 1/2012 *MB* ukazał się artykuł pt. „Vincent van Gogh”, autorstwa dr Beaty Olchowik i prof. Wojciecha Sobańca, dotyczący problemów natury psychicznej artysty. Co w tej kwestii 27 lat temu pisał prof. Lucjan Korzeniowski, kierownik Kliniki Psychiatrii AMB w latach 1954-1969, przywołuje prof. Krzysztof Worowski.

Profesor Lucjan Korzeniowski w artykule pt. *W sprawie psychopatologii ekspresji malarskiej* (Psychiatr. Pol., 1985; 19; 7-10) pisze, co następuje:

„Pragnę zaznaczyć, że wiele naszych Klinik, wśród nich ta, której jestem kierownikiem interesuje się psychopatologią ekspresji artystycznej. W Paryżu istnieje Towarzystwo badań nad taką ekspresją i, będąc członkiem tegoż towarzystwa, dostarczyłem swego czasu na zjazd w Brukseli pracę nad psychopatologią działania psylocybiny. Wymieniam również ze wspomnianym Towarzystwem prace stanowiące kreacje pacjentów. Chciałem również zaznaczyć, że uwagi zawarte w tym artykule są jedynie pobieżnym szkicem pewnych wybranych a nielicznych zagadnień z omawianej dziedziny i liczę na to, że staną się one zachętą do dalszych opracowań. Na zakończenie pozwolę sobie podać pewne sugestie, odnoszące się do cierpienia psychicznego Van Gogha. Jak wiadomo, istnieje różnica zapatrywań, co do diagnozy tego cierpienia. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że miewał on ataki drgawek z utratą przytomności, stąd niektórzy wnioskujeją, że cierpiał na padaczkę. Przemawiały za tym do pewnego stopnia charakter jego obrazów. Drobiazgowość partytury malarskiej, skłonność do punktacji i szczegółowości. Z drugiej strony życiorys Van Gogha zawiera epizody mające charakter schizofreniczny, uwieńczone, jak wiadomo, odcięciem własnego ucha i wręczeniem go przyjacielowi. Nie ulega wątpliwości, że Van Gogh miewał stany urojeniowe zbliżone do schizofrenicznych. Zagadnienie właściwego rozpoznania cierpienia Van Gogha zajmowało mnie od dawna. W moich badaniach nad padaczką «skroniową» zdaje się znalazłem jego rozwiązanie. Badania te zgodne w wynikach

z badaniami Panda, Statera i innych potwierdzają możliwość powstania u epileptyków takich zaburzeń psychicznych, które tylko z trudem można odróżnić od schizofrenii. Psychozy takie nazywamy schizofrenopodobnymi psychozami padaczkowymi. Otóż wydaje się mnie, że o taką właśnie chorobę chodziło u Van Gogha, a jej podobieństwo do schizofrenii sugerowało niektórym badaczom rozpoznanie schizofrenii nie zaś padaczki”.

Tyszkiewicz M. w artykule pt. *Uwagi do artykułu Prof. Lucjana Korzeniowskiego pt. «W sprawie psychopatologii ekspresji malarzkiej»* (Psychiatr. Pol., 1985; 19; 82-83) pisze:

„W omawianym artykule autor podaje jak gdyby zręby typizacji prac plastycznych tworzonych przez chorych otepiąłych, poddawanych lub poddających się działaniu środków odurzających, w szczególności jednak interesuje go twórczość chorych na schizofrenię. Czytając artykuł, można przypuszczać, że studiował on wiele prac plastycznych chorych na schizofrenię, gdyż nie tylko dostrzega bogactwo i różnorodność wyrazu występujące u tych autorów, ale także stawia bardzo istotne pytanie, mianowicie: «czy nie tworzą się jeszcze u nich całkiem nowe i nieznane ludziom zdrowym efekty?». Jak wynika z artykułu, autor brał udział w pracach Światowego Towarzystwa Psychopatologii Eksperymentalnej i już na zjeździe w Brukseli reprezentował polskie osiągnięcia w zakresie badań nad psychopatologią ekspresji na forum międzynarodowym. Interesujące i trafne w ocenie wydają się być sugestie autora, dotyczące istoty choroby na której cierpiał Van Gogh, a których odbicia można dopatrywać się w zmianach stylu tworzenia tego artysty. Stanowi on również cenny przyczynek do licznych badań psychologicznych i kulturowych nad twórczością tego artysty. W sumie artykuł prof. L. Korzeniowskiego stanowi cenną pozycję wczesnego okresu rozwoju psychopatologii ekspresji w Polsce i należy zaliczyć go do pionierów z zakresu tej dziedziny w naszym kraju”.

Prof. L. Korzeniowski zajmował się także teorią psychoanalizy. Własne opinie o tej teorii zamieścił w artykule pt. *Zarys krytycznego ujęcia teorii Freuda* (Postępy Wiedzy Medycznej, 1955, 1, 71-92 i w przedmowie do drugiego wydania w przekładzie polskim dzieła Z. Freuda pt. *Wstęp do psychoanalizy*, Warszawa, PWN 1982, s. 26-49).

Oprac. Krzysztof Worowski

Prof. dr hab., emerytowany kierownik Zakładu Analizy Instrumentalnej UMB.

Struktura pierwszorzędowa białka

Liczba różnych aminokwasów budujących peptydy i białka wynosi 20. Występują one w tych związkach w różnej liczbie i w różnej kolejności. W przypadku występowania tylko po jednym z tych aminokwasów obliczenie liczby możliwych kombinacji jest możliwe, dzięki posłuszeniu się silnią wyrażoną symbolem $n! = 1 \cdot 2 \cdot 3 \dots \cdot n$, np. $4!$ (czytaj: 4 silnia) = $1 \cdot 2 \cdot 3 \cdot 4 = 24$ możliwości. Wynika z tego, że peptyd, składający się z czterech różnych aminokwasów, posiada 24 izomery sekwencyjne. Wszystkie one zawierają te same aminokwasy, ale różnią się właściwościami i kolejnością

ich ułożenia w cząsteczce. Syntetyzując peptyd złożony z 4 różnych aminokwasów, mamy 1/24 szansy, że otrzymany związek będzie identyczny z żądanym. Im większa jest liczba różnych aminokwasów w peptydzie, tym większa staje się liczba możliwych kombinacji. Z 20 różnych aminokwasów można otrzymać 2 432 902 008 176 640 000 (czytaj: 2 tryliony 432 miliardy 902 biliony 8 miliardów 176 milionów 640 tysięcy) różnych peptydów. W cząsteczkach białek występuje o wiele więcej niż po jednym z wymienionych aminokwasów, co po wielokroć zwiększa możliwość istnienia olbrzymiej liczby różnych białek.

Liczba różnych

aminokwasów peptydów/białek

2	2
3	6
4	24
5	120
6	720
7	5 040
8	40 320
9	362 880
10	3 628 800
11	39 916 800
12	470 001 600
13	6 227 020 800
14	87 178 291 200
15	1 307 674 368 000
16	20 922 789 888 000
17	355 687 428 096 000
18	6 402 373 705 728 000
19	121 645 100 408 832 000
20	2 432 902 008 176 640 000

cd. ze str. 21 →

W cząsteczkach peptydów i białek niektóre aminokwasy powtarzają się kilka razy. Liczbę /p/ możliwych kombinacji oblicza się wówczas ze wzoru:

$$p = \frac{n!}{x! \cdot y! \cdot z!}$$

w którym: n! – wyraża liczbę wszystkich aminokwasów w cząsteczce; x!, y!, z! – oznaczają liczby powtarzających się identycznych reszt aminokwasowych. Na przykład 9-peptyd zbudowany z 1 reszty Gli, 1 reszty Ser, 2 reszt Arg, 2 reszt Fen i 3 reszt Pro posiada:

$$p = \frac{9!}{1! \cdot 1! \cdot 2! \cdot 2! \cdot 3!} = 1520 \text{ izomerów sekwencyjnych}$$

Izomery sekwencyjne stanowią nie tylko prostą modyfikację struktury, ale różnią się między sobą właściwościami fizykochemicznymi, chemicznymi i biologicznymi. Jest prawidłowością, że zmiana kolejności reszt aminokwasowych w łańcuchu pociąga za sobą modyfikację właściwości peptydu czy białka, podobnie jak przestawienie liter w słowach zmienia ich znaczenie.

W łańcuchu polipeptydowym każdy z 20 aminokwasów może występować w dowolnej liczbie i w dowolnej pozycji. Obliczenia wskazują, że w najmniejszej cząsteczce białka, zawierającej 100 reszt aminokwasowych, zbudowanych z 20 reszt różnych aminokwasów, może być ułożonych na 10^{130} sposobów wiele rodzajów białek.

W organizmie człowieka występuje tylko ich niewielka liczba, która jest zależna od liczby kodujących je genów i różnych kombinacji ułożenia aminokwasów.

Skład i sekwencja aminokwasów w cząsteczce białka w chwili powstania zależą wyłącznie od sekwencji nukleotydów w genie kodującym określone białko. Komórki organizmu człowieka posiadają około 30 000 genów. Jest zasadą, że jeden gen koduje jedno białko, zatem syntetyzują one w sumie około 30 000 różnych białek. W wyniku wtórnej modyfikacji reszt aminokwasowych, tworzenia struktury II-, III- i IV-rzędowej, dołączania składników nieamino-kwasowych oraz częściowej degradacji proteolitycznej, liczba różnych białek wzrasta 10-krotnie, tj. do 300 000.

Anna Worowska

Dr n. med., Klinika Chirurgii Naczyń i Transplantacji UMB.

Lekarze białostoccy

w okresach: międzywojennym i powojennym

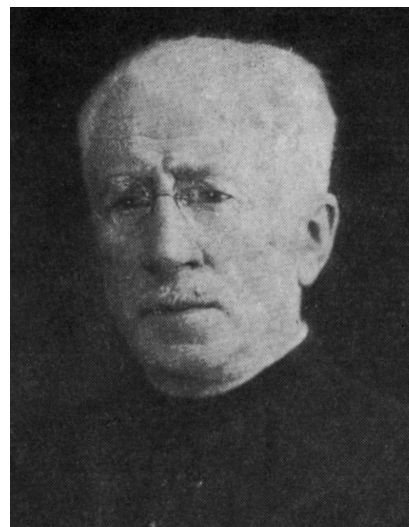
Wacław Szaykowski

(1883 – 1961)

Urodził się w Warszawie 19 maja 1883 r., jako syn Andrzeja i Lucyny z Wartołowskich. Medycynę studiował na Uniwersytecie Lwowskim. Dyplom doktora wszechnauk lekarskich uzyskał 17 maja 1913 r.

Pracę zawodową rozpoczął w Ostrowi Mazowieckiej. Początkowo pracował w lecznictwie otwartym, nieco później, w roku 1919, objął stanowisko lekarza powiatowego. Z racji sprawowania tej funkcji zasiadał w komisji badającej poborowych.

W 1921 r. przyjechał do Białegostoku, gdzie rok później powierzono mu stanowisko komisarza rządowego Kasy Chorych. Do jego obowiązków należało między innymi zorganizowanie siedemnastu oddziałów kas chorych w województwach: białostockim, lubelskim i poleskim. Dość szybko Szaykowski zaangażował się w życie społeczno-polityczne miasta. Jego artykuły, w których ujawniał poglądy lewicowe, a nawet chadeckie, drukowano w prasie białostockiej, m.in. w *Życiu Robotniczym*. Andrzej Lechowski w artykule „Kłopoty pewnego doktora”, który ukazał się w *Gazecie Wyborczej* z 24-27 grudnia 2009 r., napisał: „Z furii atakował żydowskich fabrykantów.



Dostało się Cytronowi, Polakowi czy Szpirze.(...) Szaykowski jak mało kto z białostockiego światka, ścigał na siebie wściekłość politycznych konkurentów. Pisano, że «siedzi w redakcji taki śmierdziel i wypisuje rozmaite paszkwile i insynuacje, tryskające śliną żmijową na wsze strony». Nawoływano do bojkotu «wydziału umysłowych tego pluskwiaka publicystycznego».

W roku 1924 Szaykowski, będąc już wdowcem wychowującym dwóch synów z poprzedniego związku, ożenił

się z dr Bertą Schnaider, wdową po niemieckim oficerze Adolfie Kajzerze. Niebawem włączył się do prowadzonej przez nią akcji świadomego macierzyństwa „Kropla Mleka”, o czym pisaliśmy w poprzednim numerze *Medyka Białostockiego*, w biografii dr B. Szaykowskiej.



Po wypowiedzeniu przez pracodawcę umowy o pracę w Kasie Chorych w Białymstoku, Szaykowski w roku 1930 objął posadę Inspektora Okręgowego Związku Kas Chorych. Równocześnie pozostał na stanowisku naczelnego lekarza Przychodni Pediatrycznej Kasy Chorych przy ul. Warszawskiej 1, które piastował od czasu jej założenia w roku 1922.

Przed wybuchem drugiej wojny światowej, po przeprowadzonej powszechnej mobilizacji, która objęła również wielu lekarzy, dr W. Szaykowski dostał rozkaz zorganizowania szpitala wojennego nr 303 w Białymstoku. Wezwany do Sokółki, do kierującego sprawami mobilizacji sanitariatu komendanta, otrzymał instrukcję mobilizacyjną wraz z wykazem zestawów przeznaczonych dla szpitala wojennego. Po powrocie do Białegostoku przystąpił do organizowania tego szpitala, którego komenda mieściła się w gimnazjum im. Anny Jabłonowskiej przy ul. Mickiewicza.

Proces urządzania szpitala, gromadzenia różnorodnego sprzętu i materiału sanitarnego był trudny. Z dużą pomocą tworzącemu się szpitalowi przyszło społeczeństwo Białegostoku. Na apel dr W. Szaykowskiego mieszkańcy dostarczali potrzebny sprzęt, przynosili kołdry i bieliznę poście-

lową. Dzięki ofiarnej pomocy całego personelu oraz energii i zapobiegliwości kpt. dr. W. Szaykowskiego, szpital wojenny urządzono bardzo szybko. Po 10 września, kiedy sytuacja na froncie uległa znacznemu pogorszeniu, otrzymano rozkaz nakazujący ewakuację szpitala. Wyznaczono drogę w kierunku Wołkowyska. W tym celu przydzielony został zaimprovizowany pociąg sanitarny, w którym umieszczono 550 rannych. Na komendanta tego pociągu wyznaczono dr. W. Szaykowskiego.

W czasie okupacji niemieckiej wielu pracowników służby zdrowia – lekarzy i pielęgniarek, współpracowało z ruchem oporu oraz pomagało ludności żydowskiej, za co groziła kara utraty wolności lub śmierć. Niektórzy spośród aresztowanych lekarzy pracowali w szpitalu więziennym, niosąc pomoc współwięźniom i walcząc z szalejącą epidemią tyfusu plamistego. Wśród nich byli doktorzy Waław Szaykowski i Irena Białówna.

Po wojnie dr W. Szaykowski włączył się do akcji odbudowy Białegostoku, a głównie zniszczonych działaniami wojennymi placówek służby zdrowia. W październiku 1946 r. Naczelnik Wydziału Zdrowia Urzędu Wojewódzkiego i Zarząd Okręgu PCK postanowili utworzyć Lekarskie Pogotowie Ratunkowe, które z kolei, przy współudziale Ubezpieczalni Społecznej, zorganizowało Miejską Stację Pogotowia Ratunkowego. Z czasem została ona przekształcona w Wojewódzką Stację Pogotowia Ratunkowego. Organizacja i rozwój białostockiego pogotowia to przede wszystkim zasługa lekarzy: Waław Szaykowskiego, Jerzego Gołńskiego i Witolda Stasiewicza. Pierwszym dyrektorem tej placówki został dr W. Szaykowski.

W trudnych powojennych latach, gdy brakowało kadry medycznej, naturalnym zjawiskiem była praca lekarzy na kilku etatach i w różnych miejscach. W notatce z 25 maja 1950 r., skierowanej do Wydziału Zdrowia Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku, Waław Szaykowski informował, że w Wydziale Zdrowia pracuje od godz. 8.00 do 13.00 w Okręgowej Inspekcji Pracy od 11.00 do 13.00, zaś od godz. 13.00 do 16.00 pracuje jako dyrektor Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego.

W 1952 r. w Białymstoku powstała Wojewódzka Stacja Sanitarно-Epidemiologiczna, której pierwszym dyrektorem został dr Marian Poznański. Tu w 1954 r. na stanowisku kierownika Działu Sanitarно-Epidemiologicznego pracę podjął dr Szaykowski. W opinii przełożonego dr Szaykowski „jest całkowicie oddany sprawie podniesienia stanu sanitarno-epidemiologicznego woj. białostockiego. Jest niezamordowanym inicjatorem i organizatorem wszelkich akcji profilaktycznych”.

Doktor Waław Szaykowski zakończył swoją działalność zawodową wraz z przejściem na emeryturę w wieku 75 lat. Zmarł w 1961 r. Pochowany został na Cmentarzu Miejskim w Białymstoku.

Mieczysław Sopek

Dr n. med., były wieloletni pracownik Zakładu Anatomii Prawidłowej Człowieka UMB.

Magdalena Szukdlarek

Dr n. med., adiunkt Zakładu Anatomii Prawidłowej Człowieka UMB.

Bo my, ASNYKOWCY w budzie nauczani

BEATA JARMUSZEWSKA

Kalisz na zawsze już będzie kojarzył się z Adamem Asnykiem. To właśnie od tego *starego grodu, otoczonego ramionami* Proсны, wśród alei kasztanowych chłodu, poeta czerpał *tchnienie pierwszej życia wiosny*. Jego imieniem nazwano też Szkołę Kaliską – I Liceum Ogólnokształcące w Kaliszu. Przez lata mówiono jednak, że Asnyk – jak jego mistrz Słowacki – nie zostawił po sobie dziedzica.

Ale uczniów było i jest wielu. A wśród nich Aleksander Braude. Co prawda urodził się w Mińsku, ale za swoje miasto rodzinne uważał Kalisz. Tu mieszkali jego rodzice, tu dorastał, odnosił pierwsze sukcesy, przeżywał pierwszą miłość. Ukończył Państwowe Gimnazjum im. Adama Asnyka, a po studiach lekarskich, podjętych w Poznaniu, a ukończonych na Uniwersytecie Józefa Piłsudskiego w Warszawie, na staż lekarski wrócił do Kalisza. Nietety, wybuch wojny przerwał rozpoczętą przez niego praktykę lekarską w szpitalu im. Przemysława II.

To był ostatni dłuższy pobyt Aleksandra w tym mieście.

Tęsknił. Gdy miał 75 lat, wydał książkę *Nigdy dość się nie umiera*, a w niej, w opowiadaniu *Powrót II – starość i młodość*, zamieścił wiersz:

*Przychodzę tu pijany i na Kalisz chory.
Za mną samotność, starość, groza
i śmierć kroczy,
Tu więc chcę po raz ostatni, spojrzeć
w twoje oczy
I jeszcze palcem dotknąć stopy
mojej Flory.*

Jeszcze w marcu 1991 roku, mając lat 76, przyjechał na II Walne Zebranie Sprawozdawcze Stowarzyszenia Wychowanków Gimnazjum i Liceum im. A. Asnyka. Potem systematycznie wysyłał kartki z życzeniami i pozdrowieniami kolegom i koleżankom ze stowarzyszenia. Ostatnie przesłał w 1998 roku.

**I choć życie z nami grało,
To porażki my będziemy
mieli za nic.**

Wybuchła II wojna światowa. Personel szpitala im. Przemysława II ewakuował się do Łodzi, a wraz z nim i Aleksander. Stamtąd pieszo (!) lekarz-poeta zmierzał w kierunku Warszawy. Został jednak schwyty w Czernsku. Niemcy umieścili go w prowizorycznie zorganizowanym szpitalu dla jeńców polskich w Grójcu, w którym przez ponad miesiąc pełnił

obowiązki lekarza. Następnie przenieśli go do pracy w szpitalu zakaźnym w Radomiu.

Z kolei jego matka i siostra jeszcze w sierpniu tego roku wyjechały do miejscowości Równne, należącej do Związku Radzieckiego. Chcąc do nich dołączyć, w listopadzie 1939 roku Aleksander przekroczył nielegalnie linię demarkacyjną. Na krótko zatrudnił się w szpitalu w Równnem, ale szybko przeniesiono go do Korca, a następnie wywieziono do Kraju Krasnodarskiego. Wywózka ta ocaliła mu życie, ponieważ w sierpniu 1942 roku Niemcy zajęli tereny radzieckie. Bestialsko mordowali mieszkańców okupowanych ziem. W ten sposób zginęły jego matka i siostra. Ta wiadomość spowodowała, że Aleksander wstąpił, być może z chęci zemsty, w szeregi Armii Czerwonej. Jego oddział jednak odcięto, a on został ranny. Wywieziono go do Tbilisi, a następnie do Andrejewki do obwodu orenburskiego. Pracował tam jako lekarz w szpitalu i inspektor sanitarny. Do działań wojennych przyłączył się ponownie w maju 1943 roku. Wstąpił wówczas do I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Łączył działania konspiracyjne z praktyką lekarską. Został lekarzem w samodzielnym batalionie medyczno-sanitarnym. Gdy dywizja podeszła pod Berlin i zakończyła swoją misję, Aleksander nie zrezygnował ze służby w wojsku. Pracował jako lekarz

w formacjach wojskowych, m.in. w pułku lotniczym i Wojskowym Szpitalu Okręgowym. Ukończył nawet specjalizację z organizacji i taktyki wojskowej służby zdrowia. Awansował do stopnia pułkownika.

ALEKSANDER BRAUDE

nigdy
dość
się
nie
umiera
umiera
umiera

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA

Dopiero w 1949 roku zamieszkał na stałe we Wrocławiu, gdzie pracował do momentu przejścia na emeryturę.

Młodość jak bumerang wraca pośród wspomnień, Szkolnych przygód, fajnych czasów i przyjaciół,

Aleksander przyszedł na świat 2 czerwca 1915 roku, jako syn Bernarda i Marii z domu Bok. Ojciec był doktorem filozofii i ekonomii politycznej. Zmarł wcześniej, bo w 1917 roku, na białaczkę szpikową. Matka, po przerwanych studiach polonistycznych, ukończyła biologię w Zurychu. W ich domu wielką wartość miała książka, czytali wszyscy – rodzice, siostra Julia i oczywiście Aleksander. To właśnie tutaj ukształtowało się zainteresowanie literaturą przyszedł lekarza-pisarza.

Pierwsze kroki na polu literackim stawał on już w gimnazjum. Został

współredaktorem działu literackiego w piśmie szkolnym „Sztubak”. Tłumaczył dzieła Owidiusza, Lukrecjusza, Wergiliusza. Pierwszy swój wiersz *Słowo* napisał i opublikował już w 1931 roku. Miał wtedy zaledwie 16 lat. Zachęcony sukcesem, szybko wydawał następne: *Fraszka, Do Tomasza, Mgła, Pociąg, Matematyka, Moment, Mojżesz, Objawienie, Sonecik, Treny wichrowe, Trzciny*. Żaden numer szkolnego piśma nie mógł wyjść bez wiersza jego autorstwa. A podpisywał się różnie: A. Braude, Al. Braude, A. B., Al., Alfred Zabiński, Azet.

Lubił organizować także posiedzenia redakcji w swoim mieszkaniu przy alei Józefiny 19. Oleś – jak nazywał go najbliższy kolega Tadeusz Pniewski – „potrafił stworzyć niezwykle miłą i niezapomnianą atmosferę”. A chętnych na takie spotkania nie brakowało. Aleksander był prymusem klasowym, dlatego koleżanki i koledzy traktowali go jako mentalnego przywódcę.

Do „Sztubaka” Aleksander pisał przez dłuższy czas, potem sporadycznie publikował wiersze i artykuły w „Gazecie Kaliskiej” i „Ziemi Kaliskiej”. W 1978 roku zdobył nawet, już jako dojrzały twórca – miał 63 lata, nagrodę za opowiadania *Akta sprawy*.

Prawdę powiedziawszy jednak, już „po maturze służbę muzom zamienił na służbę Eskulapowi” (Tadeusz Pniewski). I od tamtej pory był lekarzem, który od czasu do czasu sięgał po pióro i przelewał myśli na papier.

Których nie da się zapomnieć.

Jednak to środowiska Asnykowców i Kalisza ukształtowały w pełni osobowość Aleksandra i miały decydujący wpływ na jego życie. Stale korespondował on z Tadeuszem Pniewskim – listy te znajdują się dziś w zbiorach Kaliskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wciąż też wspominał o swoim ulubionym nauczycielu, dr. Edwardzie Wendem – wieloletnim proboszczu parafii ewangelickiej w Kaliszu. Pastor Wende był synem znanego księgarza i wydawcy warszawskiego. Poeta cenił jego elokwencję i czytanie oraz wartości moralne i etyczne, jakie przekazywał.

Gdy Aleksander osiągnął 75 lat, wspominał coraz częściej swój „czas

dzieciństwa i starości, czas kaliski i krasnodarski, czas walki i zwątpienia, czas kochania. A zwłaszcza czas umierania”. Wszystko to połączył w jedno w powieści *Nigdy dość się nie umiera*. Ale jak mawiał Asnykowiec, prawnik Alfred Dreszer, „za wspomnienia płaci się obolem, / Aby to dawne znów stało się bliskie...” (*Pokłon kaliskim dniom*).

Aleksander Braude – uczeń szkoły kaliskiej – zmarł 5 lipca 1998 roku. Dokładnie 170 lat po śmierci Adama Asnyka, patrona tej szkoły. Na cześć wielkiego mistrza i jego wychowanka rozbrzmiewa pieśń Asnykowców:

Bo my, ASNYKOWCY w budzie

nauczani

I choć życie z nami grało,

To porażki my będziemy mieli za nic.

Młodość jak bumerang wraca pośród wspomnień,

Szkolnych przygód, fajnych czasów

i przyjaciół,

Których nie da się zapomnieć.

Po nich lutnię przejmują następni.





**Doktor
ADAM HERMANOWICZ**

Początek roku 2012 (jak ten czas leci!) upływa w Polsce pod znakiem zawirowań, związanych z opieką zdrowotną oraz Wielką Orkiestrą Świątecznej Pomocy. To taka świecka tradycja III RP. Jak tylko wyleczysz kaca po sylwestrze, to oczekują od ciebie, że wrzucisz monetę na ratowanie np. chorych dzieci, a następnie wysłuchasz burzliwej dyskusji o podpisywaniu umów z NFZ-etem i nowej liście leków refundowanych. I w jednym, i w drugim przypadku większość zainteresowanych świetnie się bawi, ale tylko Orkiestra Owsia-ka pozostawia po sobie jakąś wartość dodaną.

Z faktu, że uznani specjaliści od wypadków lotniczych, efektu cieplarnianego oraz przyczyn globalnego kryzysu ekonomicznego (tj. wszyscy bez wyjątku polscy dziennikarze) przerzucą się na temat refundacji leków, wyniknie tyle, że nasłuchamy się kolejnej porcji głupot. Ten stek bzdur odsłoni, którzy już raz, bezdenną ignorancją – pozał się Boże! – ekspertów od wszystkiego, ale też niewiele zmieni w naszym codziennym życiu. *Będzie nadal tak, jak jest* – o czym od czasu do czasu przypomina nam Kuba

Świecka tradycja III RP

Sienkiewicz, lider zespołu „Elektryczne Gitary” i jednocześnie nasz kolega po fachu.

I nie chodzi nawet o to, że owo towarzystwo żurnalistów nie chce wypowiedzieć jakiejś konstruktywnej myśli. Ależ chce i to bardzo, tylko nie umie. Lata całe staczania się w tabloidyzację i upraszczania treści spowodowały, że kiedy nawet jakiś ekspert próbuje w audycji wytłumaczyć, choćby w ogólnych zarysach, na czym polega problem, szybko zostaje zagoniony przez czujnego prowadzącego dziennikarza do zagrody. Natychmiast pojawiają się pytania tego typu: Kto jest winny? Kopacz czy Arłukowicz? To dowód tylko na arogancję władzy czy już jest to kolejna katastrofa państwa polskiego?

I tak dalej, i tak dalej. I tylko temat, który mógłby okazać się ciekawy, tj. jakim cudem uchwalona dawno temu ustawa mogła tyle odczekać w ciszy i wybuchnąć dopiero tuż przed świętami, nikogo nie interesuje. Ważniejsze okazały się wybory i rozważania, pojawiające się po tysiąc razy dziennie we wszystkich mediach: czy słynny Pan Paprykarz pograży Tuska, czy nie? Czy TVN jest stacją niemiecką, czy już trochę spolszczoną? Potem było wycinanie Schetyny i jego ludzi, bunt ziobrystów, rozważania o Wodziance, która u Wojewódzkiego całowała tego (tfu!) satanistę Nergala itd. No jak tu zajmować się takimi bzdetami, jak leki refundowane?

Trzeba jednak uczciwie przyznać, że opozycja tym razem stanęła na wysokości zadania i nawet nie próbowała udawać, że ma jakiś pomysł. Ba! Nawet nie starała się nas przekonać, że trochę rozumie z tego, co się dzieje. „My jesteśmy od Smoleńska i od krzyża w Sejmie, nas w to nie mieszajcie” – zdawali się mówić liderzy największych klubów opozycyjnych. Niby jakaś konferencja była, wniosek o odwołanie też, ale to tylko taka gra pozorów, żeby głupio nie wyglądało. Niestety, premier i minister zdrowia koncertowo się podkładają. Wygląda wręcz na to, że chodzą po Sejmie i proszą: „Weź tą moją przewagę w sondażach, proszę, weź”. A opozycja dumnie odwraca głowę i mówi: „Nie! O Smoleńsku i krzyżu możemy mówić w nieskończoność, ale takie przyziemne sprawy, jak leczenie, zostawiamy wam. Nie mamy o tym pojęcia”.

W efekcie po całej burzy nie pozostanie nic. Sprawa na jakiś czas zostanie zaklajstrowana. Marszałek Ewa Kopacz niebawem wyjdzie z podziemia, a problemy jak były, tak pozostaną. Trupów nikt nie policzy, bo to wymaga wysiłku. A po co, skoro można zaprosić do studia Brudzińskiego i Palikota, i znowu będzie się coś działo. Panowie się ponaparzą, słupki oglądalności wzrosną, forsa do kasy wpłynie, a do tematu, o którym dziś głośno, wrócimy za rok. Jak co roku!

Białystok północny

Pozostaniemy w Białymstoku, ale tym razem polecam przegląd historyczny dzielnic północnych, też o wyrazistym dawniej obliczu, choć mniej eksponowanym, bez podziwianych zabytków i zapamiętanych na wieki wydarzeń. Tereny te szybko zatracają swoją tożsamość, wskutek wprowadzania osiedli i przemysłu, zmiany siatki ulic. Smuci, że zabrakło tu patriotów lokalnych (wyjątkiem jest Ryszard Malinowski), nie ukazały się wspomnienia, albumy. Może uda się jednak odwrócić złe tendencje do zamykania przeszłości Antoniuka, Pietrasz, Białostoczka, Wygody, Bagnówki.

Bojarzy, chłopci, mieszczenie

Dobra sobolewskie Jana Klemensa Branickiego składały się z czterech wsi bojarskich: Bagnówki, Pieczurek, Pietrasz, Skorup. Około 1770 roku Pieczurki liczyły tylko 12 gospodarstw, ale tu znajdowała się cegielnia produkująca także dachówki. Bagnówka miała więcej, bo 23 gospodarstwa i obszerny budynek rewizora, a ponadto browar. Przy drodze zaś z Bagnówki do Białegostoku ulokowano hodowlę królików, na ogrodzonym polu porośniętym osikami i brzożami. Jeszcze więcej gospodarstw, bo 29, składało się na wieś Skorupy. Bliska odległość od pałacu i miasta sprawiała, że osiedlali się tu rzemieślnicy, nawet mieszkał kredencarz dworski. Pietrasze to tylko 4 gospodarstwa, ale z kucharzem od Branickich.

Dawni Bojarzy, jak na ludzi zbrojnych przystało, nie odrabiali pańszczyzny, musieli jednak składać daniny: od zbóż i owoców po grzyby, oddawali także mięso, nabiał, miód. Niektórzy z nich, co też było zgodne z tradycją, zasilali szeregi służby magnackiej, imali się rzemiosłem, gotowi byli świadczyć



**ADAM
CZESŁAW DOBROŃSKI**

jeszcze inne funkcje na zapleczu dworu.

Przypomnijmy, że Białostoczek (tak się pierwiej pisało), czyli obecny Białostoczek, liczył 47 gospodarstw, zobowiązanych do odrabiania pańszczyzny, również dostarczania danin (sporo drobiu), wykonywania stróży i „gwałtów” (prac nagłych), a nawet naprawiania przeseł parkanu zwierzynca, w którym hodowano dzikie zwierzęta. Bojarzy mogli się przyznawać do szaczejniejszych koneksji i powoływać na honor. Co bardziej przedsiębiorczy, a niezbyt zasobni gospodarze z Białostoczka (Białegostoczka) starali się jak najszybciej opuścić wieś i szukać szczęścia poza rodzimą zagrodą. Mało ich obchodziło, że Białostoczek, jako wieś Białystok, był „od zawsze”, podobnie jak i Stara Wieś (Starosielce).

Wciąż poza miastem

Miasto Białystok po III rozbiorze stało się stolicą departamentu w zaborze pruskim, a po 1809 roku stolicą obwodu w Rosji. Władze Białegostoku zaczęły wykorzystywać okazje, by zwiększać liczbę mieszkańców i budynków oraz rozwijać miasto gospodarczo. Na tere-

nach wiejskich te zmiany dokonywały się wolniej, gdyż wiele zależało od przebiegu dróg oraz odległości od pałacu i rynku. W styczniu 1832 roku wieś Białostoczek miała 367 wiernych wyznania rzymskokatolickiego, Pietrasze – 36, Pieczurki z karczmą Zieloną – 112, Bagnówka – 174. Sporadycznie tylko pojawiali się tu wyznawcy mojżeszowi.

Znaczenia nabrała Wielka Droga łącząca Białystok z Grodnem, a przez tę stolicę guberni zyskały i inne miasta, położone przy drogach wiodących w kierunku wileńskim. Odnotowano nawet przejazdy carów i dostojników z dworu petersburskiego, częste przemarsze wojsk. W latach trzydziestych XIX stulecia zaczął się rozwój przemysłowego Supraśla, z czasem zyskał on miano atrakcyjnego miejsca na letni wypoczynek. Również powiatowa Sokółka stworzyła warunki okoliczności do zagęszczania ruchu pojazdów, a i w Wasilkowie przemysł zagościł na dobre. Z myślą o przejezdnych funkcjonowała karczma Wygoda, z czasem znaleźli się chętni do osiedlenia, pojawili się wozacy, przybywali także włókiennicy. Nadal jednak północne peryferia białostockie ustępowały pod względem atrakcyjności terenom południowym i zachodnim.

Przełom nastąpił po uruchomieniu linii kolejowych, najpierw przez Grodno i Wilno do Petersburga (1862 r.), a następnie przez Wołkowysk i Baranowicze do Moskwy (1886 r.). O tej pierwszej wiemy więcej i doceniamy jej znaczenie, bo w drugą stronę zapewnia do dziś połączenie z Warszawą. Okazać się jednak miało, że do gwałtownego rozwoju przemysłu bardziej przyczyniała się Kolej Poleska, z dworcem o tej samej nazwie (późniejszy Fabryczny). Z czasem rozwinęła się i sieć torów postojowych oraz przeładunkowych, zbudowano odnogi („wietki”), a wzdłuż linii kolejowej poprowadzono dwie ważne ulice: Poleską oraz dzisiejszą Towarową.

Obrazki sprzed wieku

Skierujmy wzrok na mapę, na północne obszary wielkiego Białegostoku. Choroszcz została całkowicie przeobrażona za sprawą Moesów, stała się perłą włókienniczą białostockiego okręgu przemysłowego. Miasteczko oddziaływało i na okoliczne wsie (przykładem Dzikie), platformy konne ze stacji Starosielce i Białystok przywoziły surowce, a w drugą stronę zabierały gotowe wyroby. Skorzystał z tego i rolniczy Antoniuk, przybywało tu przede wszystkim wozaków, siano więc coraz więcej owsa, a i korzystano z okazji, by dostarczać do miasta owoce (sady) oraz warzywa. W stronę fabrycznego Dobrzniewa powstawały zaczątki Antoniuka Fabrycznego (fabryka Commichau i inne), czemu sprzyjały bliskość rzeki Białki i kolei. A jak przemysł włókienniczy, to również osadnictwo niemieckie, czego śladem są pozostałości cmentarza ewangelickiego (ul. Produkcyjna).



Pomnik - kaplica 16 pomordowanych przy Szosie Obwodowej. Zdjęcie z przedwojnia, o czym świadczy fakt, że ksiądz odprawia mszę na górze.

Odmiennej charakter miały Dziesięciny. Chyba najbardziej prawdopodobnie brzmi hipoteza, że nazwa wzięła się od rosyjskiej miary powierzchni (dziesięcina skarbowa = 1,09 ha). Tak zwani wysłużeni żołnierze rosyjscy, gdy po kilkunastu latach (za cara Mikołaja I po 25 latach) wracali w rodzinne strony, to mieli prawo do „kawałka” ziemi, najczęściej właśnie do dziesięciny. Nie były to prawdziwe gospodarstwa rolne, ale wystarczało na posadowienie chatki, a ich właściciele dorabiali w mieście.

Białostoczek (wieś Białystok) kurczył się powierzchniowo, a bieg torów sprawił, że ostatecznie nazwa ta oznaczać zaczęła jedynie tereny trójkąta, między Magistralą Warszawsko-Petersburską i Koleją Poleską oraz od północy – Szosą Obwodową. Zwracam uwagę na to, że cały Białystok miał już na przełomie wieków XIX i XX obwodnicę w postaci szos obwodowych; wymienionej północnej – z przedłużeniem do Zielonej, i południowej (Mikołaja Kopernika) –

Wygodzie konduktu, ale w rejon dworca Poleskiego dojeżdżał i tramwaj konny (konna). Najspokojniej było nadal na rolniczej Bagnówce.

Tragiczna pamiątka

Trwała kontrofensywa wojsk Józefa Piłsudskiego, rozpoczęta znad Wieprza, dywizje bolszewickie uchodziły w panice. Z Drohiczyzna – przez Bielsk Podlaski – do Białegostoku pospieszały bataliony



Fabryka na Antoniuku, 1897 r.

z przedłużeniem w postaci szos: Zwierzynieckiej, pod Krzywą, Wschodniej. Miał i inne szosy wychodzące z miasta, często z bardzo starą metryką, między innymi do: Żółtek (na Choroszcz – Zambrów), Jeżewa (przez Starosielce), Baranowicz. A wracając do Białostoczka, to domów przybywało między torami i Białką, zaś kolonie rolne sięgały hen, hen pod Pietrasze, znane wówczas z dorodnych lasów, wzgórz, hodowców bydła i kóz, poligonu wojskowego.

Wygoda od lat osiemdziesiątych XIX wieku zyskała cztery nowe wyróżniki. Pierwszym była już kilka razy wymieniana Kolej Poleska z dworcem, co zachęciło do inwestycji przedsiębiorców różnych nacji i wyznań. Na pewno też miało wpływ na lokalizację dużego kompleksu koszarowego z zapleczem. I wyróżnik czwarty, smętny, to cmentarze: katolicki (farny) od 1886 r., mojżeszowy od 1890 r., prawosławny od 1882 r., ewangelicki od 1890 r. Ciągnęły więc ku

1. pułku 1. Dywizji Piechoty Legionów. W Białymstoku – siedzibie Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnej Polski (TKRP) – władze bolszewickie starały się zastraszyć ludność cywilną. Przeprowadzono aresztowania osób podejrzanych o działania kontrrewolucyjne, a specjalny trybunał wydawał wyroki, które nie podlegały apelacji. Jeden z kolejarzy polskich widział, 20 sierpnia 1920 roku, jak przygnano 16 skazańców w rejon wiaduktu nad torami szlaku do Grodna. Po zejściu z nasypu szosy obwodowej, kazano im kopać groby. Następnie ofiary białostockiej Czerezwycyzajki rozstrzelano i pogrzebano.

Charakterystyczny był skład osobowy ofiar. Wśród nich znaleźli się m.in.: ksiądz Ryszard Knobelsdorf, trzech policjantów i trzech ziemian, dwóch nieznanych oficerów wojsk polskich i hallerczyk, działacz związkowy, Żyd Icko Firer, Tatar ksiązę Akim Podolski, fryzjer białostocki, działacz związkowy.

W sumie cztery wyznania i narodowości, różne stany. Czy była to zemsta za przegraną pod Warszawą, czy może za słabsze, niż oczekiwano, poparcie białostoczan dla TKRP, pod przewodnictwem Feliksa Dzierżyńskiego i Juliana Marchlewskiego?

3 maja 1931 roku odbyła się okazała uroczystość odsłonięcia pomnika, projektu Rudolfa Macurycy, na miejscu zbrodni. W następnych latach odbywały się tu coroczne ceremonie. Pomnik zniszczyli w 1939 roku okupanci sowieccy, ale udało się ocalić krzyż. Stał on na cmentarzu farnym do 1990 roku, kiedy wrócił na swoje miejsce. Cały pomnik odrestaurowano w nieco zmienionej scenerii.

W dwudziestoleciu międzywojennym

Raz jeszcze dokonajmy symbolicznego przepatrzenia północnych okrain Białegostoku, ale tym razem cofniemy się w czasie tylko o siedemdziesiąt kilka lat. Antoniuk (także Fabryczny) znajdował się od 1919 roku w granicach miasta. Przybył tu cmentarz św. Rocha (od 1925 r.), otwierano nieduże zakłady i warsztaty, dobrą opinią cieszyła się Szkoła Przemysłowo-Rzemieślnicza (zmieniała swą nazwę), a najnowszym nabytkiem oświatowym stała się Szkoła Powszechna nr 7 im. Marszałka J. Piłsudskiego przy ul. Wiatrakowej. Cała dzielnica uchodziła za spokojną, na północy (przykładem ul. Dziesięciny) funkcjonowały wciąż gospodarstwa rolniczo-ogrodowe, a życie tętniło bliżej dworca kolejowego (ul. Choroszczańska).

O Białostocku godzinami opowiadał mi Ryszard Malinowski. Zamożniejsi mieszkali przy Kozłowej, Sitarskiej i ulicy Białostoczek, proletariat dominował przy Trochimowskiej (Przytorowa) i Płockiej, ciężko się żyło na Brazylce (Węglowa, Wąska), a ul. Sokólska wyprowadzała na rozległe pola i łąki, na których pały się stada krów. Utrzymał się niemal wyłącznie polski (katolicki) charakter osadnictwa. Przetrwało i wiele starych nazw: Zliszki (pod Pietraszami), Studzińczyna (tu obecnie jest elektrociepłownia), Naddawki (zagony przy rzece), Wygon (przedłużenie ul. Sokólskiej). Białka bliżej „torów sokólskich” zachwycała czystością wody i dużą głębokością. Latem spragnionych wypoczynku wabiła ładna plaża, a zimą rąbano tu lód.

Na Pietrasze chodzono na grzyby i jagody, a zimą na narty. Było też tu pole dla szybowców i mówiono, że w czasie I wojny światowej lądowały na nim niemieckie zeppelin (sterowce). Często widać było na Pietraszach ćwiczących żołnierzy z pobliskiego 42. pułku piechoty oraz białostockich harcerzy. Stali, niezbyt liczni mieszkańcy utrzymywali się bardziej z hodowli niż uprawy ziemi. Złośliwi mówili, że to idealne miejsce na wypędzanie okowity. Doły

I jeszcze słówko o folwarku Zaciszce oraz wsi Pieczurki, gdzie corocznie urządzano uroczyste dożynki. O Bagnówce zaś mawiano, że leży tam, gdzie najwcześniej wschodzi słońce nad Białymstokiem.

Po wojnie

Nowa granica wschodnia sprawiła, że Kolej Poleska stała się kolejką do Zubek Białostockich. Nad dworcem Poleskim



Szkoła Rzemieślniczo-Przemysłowa przy ul. Antoniukowskiej, 1930 r.

przygotowane na zbiorniki z paliwem wykorzystali okupanci niemieccy na przełomie czerwca i lipca 1941 roku, dla przeprowadzenia masowych egzekucji Żydów.

Wygoda stała, jak i poprzednio, żołnierzami, osobami żyjącymi z pracy na kolei, drobnymi przedsiębiorcami. Nowością były osiedla (spółdzielcze) i kolonie mieszkaniowe. Zapełniały się grobami cmentarze. Na ewangelickim znajdowały się kwatery znakomitych rodów fabrykanckich (m.in. Hasbachów) i groby żołnierzy niemieckich z I wojny światowej, łącznie z okazałym mauzoleum. Na katolickim farnym najcenniejsze nagrobki stały wokół kaplicy, tu pochowano i założyciela nekropolii ks. Wilhelma Szwarca. Na pobliskim zaś cmentarzu żydowskim zwracał uwagę wysoki obelisk (jest i obecnie), upamiętniający ofiary pogromu białostockiego z czerwca 1906 roku. Cmentarz prawosławny zyskał na początku XX wieku ładną cerkiew neobarokową.

ciężły dwie tragedie: wywózki na wschód ofiar NKWD i białostockich Żydów do obozów zagłady. W pierwszych latach po wojnie te stosunkowo niewiele zniszczone dzielnice zapewniały dach nad głową i wyżywienie. Socjalizm miał zwyciężyć po wybudowaniu kombinatu w Fastach (rozruch w 1955 r.), a nowoczesność kojarzona z wyburzaniem domów i stawianiem bloków. Tak padły dawne: Antoniuk, Białostoczek, Wygoda. Dalej na północ w latach siedemdziesiątych stworzono dzielnicę przemysłową, a kierunek wskazywały wysokie kominy wspomnianej elektrociepłowni. Długo na odkrycie musiały czekać Bagnówka i Jaroszkówka. Obecnie więcej się mówi i pisze o przebiegających w tamtych stronach arteriach komunikacyjnych niż o życiu mieszkańców. Część z nich zdołała zachować swe zagrody, tyle że już nie z drewnianymi domkami i krówkami na przystodolu. *Panta rhei!*

Autor jest prof. dr. hab. – pracuje na Wydziale Historyczno-Socjologicznym Uniwersytetu w Białymstoku.

Z Senatu

Na posiedzeniu Senatu 20.12.2011 r. podjęto uchwały w sprawach:

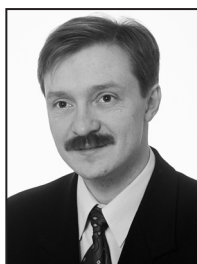
- zatwierdzenia Regulaminu Wyborów do Kolegium Elektorów, jednoosobowych organów, przedstawicieli do organów kolegialnych oraz osób pełniących inne funkcje z wyboru na Uniwersytecie Medycznym w Białymstoku, oraz Kalendarza Wyborów na kadencję 2012 – 2016,
- zgodności zmian w Regulaminie Samorządu Studentów Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku ze statutem uczelni i ustawą – *Prawo o szkolnictwie wyższym*,
- zgodności zmian w Regulaminie Samorządu Doktorantów Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku ze statutem uczelni i ustawą – *Prawo o szkolnictwie wyższym*.

Krystyna Dyszkiewicz

Kierownik Rektoratu UMB.

Nominacje

W roku 2011 nominacje na profesora nauk medycznych otrzymali doktorzy habilitowani: **Dariusz Marek Lebensztejn** i **Anna Stasiak-Barmuta**.



Dariusz Marek Lebensztejn, ur. w 1965 roku w Białymstoku. Po ukończeniu AMB w roku 1989, rozpoczął pracę jako

lekarz stażysta w Dziecięcym Szpitalu Klinicznym w Białymstoku. Od 1991 roku pracuje w III Klinice Chorób Dzieci AMB (obecnie Klinika Pediatrii, Gastroenterologii i Alergologii Dziecięcej UMB). Jest specjalistą chorób dzieci. W 1996 roku uzyskał stopień naukowy doktora nauk medycznych w zakresie medycyny, a w 2003 roku – stopień naukowy doktora habilitowanego w zakresie medycyny – pediatrii, gastroenterologii.

Jest autorem lub współautorem 115 publikacji naukowych i 128 komunikatów zjazdowych. Jego dorobek naukowy dotyczy głównie problematyki hepatologicznej. Jest promotorem 5 zakończonych prac doktorskich i 2 prac magisterskich.

Profesor dr hab. Dariusz Marek Lebensztejn był członkiem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Hepatologicznego (PTH) w latach 1998 – 2001 i 2007 – 2010, a od 2010 roku jest członkiem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Gastroenterologii, Hepatologii i Żywienia Dzieci (PTGHiZD). Jest również członkiem z wyboru EASL (European Association for the Study of the Liver) i ESPGHAN (European Society of Pediatric Gastroenterology, Hepatology and Nutrition). Jest członkiem Komitetów Naukowych czasopism: „World Journal of Gastroenterology”, „Experimental & Clinical Hepatology” i „Pediatria Współczesna”, „Gastroenterologia, Hepatologia i Żywienie Dziecka”. Wielokrotnie otrzymywał nagrody naukowe i dydaktyczne JM Rektora UMB oraz kilkakrotnie nagrody na ogólnopolskich zjazdach naukowych: PTH i PTGHiZD.

W 2007 roku został powołany przez dyrektora Centrum Egzaminów Medycznych na członka Państwowej Komisji Egzaminacyjnej w dziedzinie: pediatria, a w 2008 roku – na członka Państwowej Komisji Egzaminacyjnej do przeprowadzenia Lekarskiego Egzaminu Państwowego (LEP) i Lekarsko-Dentystycznego Egzaminu Państwowego (LDEP).

W 2008 roku został wybrany do pełnienia funkcji prodziekana Wydziału Lekarskiego z Oddziałem Stomatologii i Oddziałem Nauczania w Języku Angielskim UMB na lata 2008–2012. Od 2009 roku jest również przewod-

niczącym Wydziałowej Komisji Rekrutacyjnej na Wydziale Lekarskim z Oddziałem Stomatologii i Oddziałem Nauczania w Języku Angielskim.



Anna Stasiak-Barmuta, studia na Wydziale Lekarskim AMB ukończyła w roku 1979. Jest specjalistą w zakresie pediatrii i laboratoryjnej immunologii medycznej. Od 1979 do 1980 r. pracowała jako asystent w Klinice Psychiatrii AMB. W latach 1980 – 1991 była starszym asystentem w Zakładzie Immunopatologii Instytutu Chorób Zakaźnych i Pasożytniczych Akademii Medycznej w Warszawie. Od 1991 do 2008 r. pracowała w Zakładzie Alergologii Dziecięcej AMB na stanowisku adiunkta, a jednocześnie w okresie od 1999 do 2008 roku była lekarzem w Poradni Immunologicznej i kierownikiem Pracowni Cytometrii Przepływowej Dziecięcego Szpitala Klinicznego w Białymstoku. Od 2008 r. pełni funkcję kierownika Zakładu Immunologii Klinicznej UMB.

Stopień naukowy doktora nauk medycznych w zakresie medycyny uzyskała w roku 1992, na podstawie rozprawy doktorskiej pt. „Immunorekonstrukcyjny wpływ wyciągów grasicy cielęcej podawanych chorym z zaburzeniami ilości i funkcji populacji limfocytów grasiczozależnych”. W roku 2005 otrzymała stopień doktora habilitowanego nauk medycznych na podstawie dorobku naukowego i rozprawy habilitacyjnej pt. „Wybrane aspekty aktywności biologicznej limfocytów T i komórek NK w astmie nieatopowej”. Profesor Stasiak-Barmuta jest autorką i/lub współautorką

147 prac oryginalnych, opublikowanych w czasopismach recenzowanych (punktacja Impact Factor wg Listy Filadelfijskiej – 57 799; punktacja wg KBN – 9935) oraz 152 komunikatów zjazdowych przedstawianych na konferencjach krajowych i międzynarodowych. Jest promotorem 3 rozpraw doktorskich i recenzentem 7 rozpraw doktorskich.

Za swój dorobek naukowy została trzykrotnie uhonorowana nagrodą zespołową I stopnia Ministra Zdrowia, dwunastokrotnie nagrodą zespołową I stopnia Jego Magnificencji Rektora Akademii Medycznej/Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku.

Informujemy

Zarząd Chóru Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku ma zaszczyt zaprosić wszystkich jego byłych i obecnych Członków na uroczyste obchody jubileuszu 60-lecia działalności artystycznej zespołu, które odbędą się w dniach 18-19 maja 2012 roku w Białymstoku.

Zwracamy się również z gorącą prośbą o powiadomienie wszystkich Chórzystów, z którymi posiadają Państwo kontakt o zbliżającym się jubileuszu.

Tylko raz na pięć lat mamy wyjątkową okazję do podsumowań i wspomnień tych niezapomnianych lat, wypełnionych wspólnym muzykowaniem. Mamy więc nadzieję, że w jak najliczniejszym gronie Przyjaciół dane nam będzie wspólnie jeszcze raz zaśpiewać ulubioną „Kołysankę”.

Szczegółowe informacje dotyczące rejestracji dostępne są pod adresem: <http://chor.umb.edu.pl/>

Listy do redakcji

W nawiązaniu do artykułu z „Medyka Białostockiego” z listopada 2011 r. o otwarciu Muzeum Historii Medycyny, chciałbym poinformować, iż historia

gromadzenia zbiorów związanych z farmacją i medycyną w Białymstoku sięga przynajmniej 50. lat XX wieku.

Mgr farmacji Irena Kallaur, kierowniczka apteki przy ul. Wesołej, dała początek gromadzenia zbiorów farmaceutycznych, a przy szkole pielęgniarstwa przy ul. Ogrodowej dyrektor Muzeum Wojska Polskiego w B-stoku, płk Z. Koszyła założył izbę pamięci narodowej. Ekspozyty pochodziły z Muzeum Wojska i z ofiar pracowników białostockiej służby zdrowia. Ja, po parokrotnym objęździe województwa białostockiego, w latach 1965-73, i zebraniu sporej ilości ekspozyt ofiarowanych mi przez pracowników służby zdrowia oraz ludzi związanych ze służbą zdrowia, pokusiłem się wyeksponować dość bogaty zbiór w świetlicy i holu Międzyzakładowej Przychodni Przemysłowej przy fabryce sklejek w Białymstoku, z pomocą personelu przychodni. Były to: stary sprzęt medyczny, aparatura medyczna, materiały polskie, rosyjskie, niemieckie, umundurowania polskich sił zbrojnych na zachodzie i wschodzie, dokumenty wojskowe, odznaczenia.

Częścią swych ekspozytów uzupełniłem zbiór przy szkole pielęgniarstwa, a następnie ekspozycję przy studium wojskowym Akademii Medycznej w B-stoku. Ekspozycje z przychodni były prezentowane w Muzeum Wojska w B-stoku, w Dyrekcji PSK oraz z okazji zdobycia I miejsca przez służbę zdrowia Bielsk Podlaski. Na przestrzeni 15 lat ekspozycję w Przychodni w Dojlidach odwiedziło ponad 5000 osób. Byli m.in.: wiceminister zdrowia Grenda, rektor AMB prof. Wiśniewski, dziekan AMB prof. Gabryelewicz, wice-burmistrz miasta Białystok, wojewodowie łódzki

i krakowski, przedstawiciele Uniwersytetu w Białymstoku, lekarz wojewódzki, przedstawiciele prasy miejscowej i stołecznej oraz goście z Francji i Niemiec.

W otoczeniu ekspozyt odbyły się 2 posiedzenia: pierwsze dotyczyło upamiętnienia udziału pracowników białostockiej służby zdrowia w II wojnie światowej (wydano książkę w 1985 r.), drugie posiedzenie dotyczyło upamiętnienia ofiar poniesionych przez białostocką służbę zdrowia w II wojnie, poprzez odsłonięcie pomnika „GŁAZ”, które miało miejsce 1 września 1980 r. Oba posiedzenia odbyły się pod przewodnictwem prezesa Polskiego Towarzystwa Lekarskiego Prof. Piotra Boronia.

20 listopada 1980 r. złożyłem wizytę Rektorowi AMB, prof. dr Jerzemu Łebkowskiemu, w sprawie organizacji muzeum służby zdrowia, który zadeklarował mi, iż sprawę rozważy i da znać do końca sierpnia 1981 r. Nie otrzymałem odpowiedzi.

Nie pamiętam, co było dalej, chyba przez medyków warszawskich wiadomość o zbiorach dotarła do Szczecina, do kierownika Katedry Historii Medycyny tamtejszej AM, płk. prof. dr. med. Tadeusza Brzezińskiego, który przejął nasze zbiory w 1991 r., wywożąc je dwukrotnie samochodem typu combi i ciężarówką.

W moim posiadaniu pozostało wiele pamiątek, m.in. preparaty histologiczne mojego ojca z Moskiewskiego Uniwersytetu z 1907 r. (mogę przekazać 2 szkiełka muzeum historycznemu UMB) oraz znak medycyny moskiewskiego uniwersytetu do sfotografowania.

Józef Kuźmiński

Lekarz emerytowany.

Podziękowanie

W imieniu pracowników Biblioteki Głównej Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku i władz uczelni, serdecznie dziękuję Państwu Barbarze i Waldemarowi Niklińskim za przekazanie w darze niezwykle cennego woluminu z roku 1888 pt. *Słownik Lekarzy Polskich*, autorstwa Stanisława Koźmińskiego. Pozycja ta przyczyniła się do wzbogacenia naszych zbiorów, a także jest cennym źródłem do badań historycznych.

Danuta Dąbrowska-Charytoniuk

p.a. Dyrektor Biblioteki Głównej UMB.